



EWA SAPIEŻYŃSKA
**NIE JESTEM
TWOIM POLAKIEM**
REPORTAŻ Z NORWEGII

NIE-FIKCJA

EWA SAPIEŻYŃSKA
**NIE JESTEM
TWOIM POLAKIEM**
REPORTAŻ Z NORWEGII

PRZEŁOŻYŁA
ILONA WIŚNIEWSKA



*Dla Ciebie, droga czytelniczko, czytelniku,
dla nas*

*Człowiek jest najgłębiej uzależniony od swojego
odbicia w duszy drugiego człowieka.*

WITOLD GOMBROWICZ

*Malowany ptak krążył z jednego końca stada
na drugi, daremnie próbując przekonać krewniaków,
że jest jednym z nich. Ale ci, oszołomieni jaskrawymi
kolorami, przyglądali mu się z niedowierzaniem.*

*Gdy uporczywie usiłował zająć miejsce w szyku,
spychali go coraz dalej i dalej.*

JERZY KOSIŃSKI

Na życzenie kilku osób występujących w książce ich imiona i pojedyncze detale dotyczące ich biografii zostały zmienione.

1

Próbuję się uśmiechać, utrzymać ten uśmiech wbrew ciężarowi autorytetu i sile ciężenia, które ciągną kąciki ust w dół. Szwedzka celniczka uważnie studiuje mój bury paszport. Jestem zmęczona po nocy na promie z Polski, a waga jej decyzji dodatkowo ciąży mi na powiekach.

Jest rok 2001, a ja jestem zakochana w norweskim studencie filozofii, którego poznałam w Andaluzji. Are. Jak bym mogła się nie zakochać w chłopaku, który zagaił słowami: „Czytałaś Gombrowicza?” – polskiego pisarza i egzystencjalistę, który tak trafnie opisał to, jak zależni jesteśmy od spojrzenia innych. Jak druga osoba może nas upokorzyć, przyprawić nam maskę, nie wspominając o tym, jak formuje nas społeczeństwo.

Okazuje się, że moi współpasażerowie tej transbałtyckiej podróży mają rację: straż graniczna nie wpuszcza turystów zza wschodniej granicy, jeśli ktoś z norwesкими zarobkami nie zagwarantuje pokrycia kosztów ich jedzenia i utrzymania.

Celniczka dzwoni na numer stacjonarny matki Arego i przypadkiem zastaje ją w domu.

Celniczka pyta Aase, czy zapłaci za moje wyżywienie.

Ta na szczęście odpowiada twierdząco na nieoczekiwane pytanie dotyczące osoby, której jeszcze nigdy nie widziała na oczy.

*

Kurtyna wypełnia ekran telewizora. Chwilę później odsłaniają ją dziecięce rączki. Jest sobota, lata 80., mam siedem lat i nie mogę się

doczekać weekendowego rytuału.

– Chcę powiedzieć, że... – mówi dziewczynka na ekranie.

Tak się zawsze zaczyna, tak się nazywa ten program.

– Chcę powiedzieć, że... Robert jest moim najlepszym przyjacielem.

I że przeczytałam *Ronję, córkę zbójnika*, jest super!

Kolejne dziecko odsłania kurtynę i mówi coś ważnego. Coś prawdziwego, niefiltrowanego.

Ich własne słowa, w których mogę się przejrzeć.

*

W pracy mówią, że mówię łamanym norweskim.

Ale i tak próbuję. Bo mam ci coś do powiedzenia.

Jestem też na tyle bezczelna, by rościć sobie prawo do pisania tej książki na fali Black Lives Matter, mimo że mam jasną skórę.

Istnieją języki, takie jak język *pirahã* w brazylijskiej Amazonii, które nie mają stałych nazw kolorów. Opisują je głównie przez porównania z innymi kolorami, przez określenia: jaśniejszy i ciemniejszy.

Ja jestem ciemniejsza, zarówno w Norwegii, jak i w Polsce. Kiedy byłam mała, dziadek nazywał mnie Borowikiem, bo moje ciemne włosy przypominały mu kapelusz jego ulubionego grzyba.

Ale czy jestem wystarczająco niebiała, by móc napisać tę książkę?

Mój kolor skóry to przywilej. A mam ich więcej. Czy miałabym możliwość napisać tę książkę, gdyby tak nie było? Pochodzę z klasy średniej w mojej ojczyźnie i należę do niej również w Norwegii. Moi rodzice mają wyższe wykształcenie, a ja mam doktorat z Universidad de Chile oprawiony w ramki na ścianie domu w bogatej części Oslo. Mam pracę, którą lubię, i przyzwoitą norweską pensję, a na dodatek piszę o Norwegii i Ameryce Łacińskiej dla polskich mediów. Mam wielu

otwartych i wolnych od uprzedzeń norweskich przyjaciół, niektórzy z nich to znani uczestnicy debaty publicznej. Mam też męża Norwega, który ze studenta filozofii przemienił się w dyplomatę. I od jedenastu lat mam także norweski paszport. Żadnego więcej, bo podwójne obywatelstwo nie było dozwolone, kiedy zostałam Norweżką.

Ale jak tylko otworzę usta, pojawia się pytanie:

– Skąd jesteś?

Niektórzy tak się spieszą, by przylepić mi łatkę, że przerywają mi w środku zdania.

Dawno już przestałam odpowiadać, że jestem z Oslo, lub podawać nazwę dzielnicy, bo pytający rzadko łapią aluzję. Zamiast tego drążą:

– Skąd tak naprawdę jesteś?

Próbuję:

– Z szarej Europy Wschodniej.

Grey Lives Matter!

– Z Polski.

Odpowiedzi towarzyszy zazwyczaj jęk zawodu:

– Aaa...

Albo nawet:

– Ale przecież jesteś ładna!

To sprawia, że myśli mi brzydą nieco.

I na tym rozmowa zwykle się kończy. Choć tu dopiero mogłaby się zacząć, gdyby rozmówcy okazali trochę więcej zainteresowania.

Zdarza się, że ci, którzy cokolwiek słyszeli o moim kraju, pytają, co myślę o polskiej polityce pod rządami nacjonalistycznej partii PiS (wymawiane – jakże obrazowo – *piss*). Albo o ograniczeniu prawa do aborcji w Polsce, które i tak było już jednym z najbardziej restrykcyjnych

w Europie. O „strefach wolnych od LGBT”, które sprawiają, że tęsknię za możliwością głosowania w Polsce – by móc głosować przeciwko homofobom.

A przecież moglibyśmy porozmawiać na tyle innych tematów. O historii, muzyce, szkole filmowej w Łodzi, Literackiej Nagrodzie Nobla, którą w 2018 roku otrzymała Olga Tokarczuk. Albo o idei esperanto, międzynarodowego, łatwego do nauczenia się języka skonstruowanego pod koniec XIX wieku w Warszawie przez Ludwika Zamenhofa; język ten miał przyczynić się do poprawy komunikacji ponad granicami państw. O urodzonej w Polsce Róży Luksemburg i jej międzynarodowej walce o prawa pracownicze.

„Moim domem jest cały świat – wszystkie miejsca, w których są chmury, ptaki i ludzkie łzy”, pisała[1].

Ale takie rozmowy zdarzają się za rzadko. Zamiast tego spotykam się z niezręczną ciszą lub komentarzem o Polakach jako taniej sile roboczej.

*

Tamto pierwsze lato w Norwegii zaczęło się od cudownych, leniwych dni w Ås. Była tam cisza, której nigdy wcześniej nie słyszałam, i światło o zupełnie innej ostrości, która potęgowała wszelkie odcienie zieleni. Czytaliśmy w hamaku. Oglądaliśmy klasyki na kasetach wideo do późna w nocy, dobijając na drugi brzeg krótkotrwałej ciemności.

Moje oszczędności nie wystarczyły na długo. W tym czasie różnice w cenach między Polską a Norwegią były siedmio-, czasem dziesięciokrotne. Are miał pracę wakacyjną i ja też chciałam zarobić własne pieniądze. Udało mi się dostać fuchę przy pieleniu grządek u sąsiadki przy stawce pięćdziesiąt koron za godzinę. Któregoś dnia, po dwóch przepracowanych w ogrodzie godzinach, kobieta zapłaciła mi dwieście

koron. Are zdążył właśnie powiedzieć, że to dobrze, że zapłata zaczyna zbliżać się do stawki minimalnej, kiedy tamta zadzwoniła do drzwi i zażądała zwrotu stu koron, bo „przez pomyłkę zapłaciła mi za dużo”.

Ale była zadowolona z rezultatu mojej pracy i obiecała polecić moje usługi znajomym.

Norweżka, u której dostałam kolejną pracę – tym razem przy myciu tarasu – opowiadała mi o profesorze malarstwa z Polski, który kilka lat wcześniej malował jej dom. Miałam wrażenie, że oczekiwała ode mnie wyjaśnienia, jak to możliwe, że ktoś z jego pozycją podjął się takiej pracy? I dlaczego nocował we własnym samochodzie? Czy mój kraj nie docenia swoich profesorów? Podzieliłam się z nią szybkim rachunkiem, ile można było zarobić na malowaniu domów w Norwegii, a ile na malowaniu płótna na akademii w Polsce. Przebitka była wielokrotna.

Wkrótce potem rozpoczęłam karierę na polu truskawek i dostałam mój pierwszy kontrakt. To był punkt zwrotny: z pracy na czarno do legalnego zatrudnienia. Z rolnikiem, który mnie zatrudnił, pojechaliśmy na policję, by dostarczyć kontrakt. Policjant w okienku powiedział, że podanie o pozwolenie na pracę to formalność, jednak trzeba będzie na nie poczekać około trzech tygodni.

– Sezon na truskawki jest teraz, nie za trzy tygodnie – odpowiedział rolnik, a na odchodnym rzucił jeszcze: – Ona zaczyna dzisiaj!

W drodze powrotnej powtarzałam w głowie wszystkie nowo poznane norweskie słowa. Byłam jednocześnie dumna i spięta. W razie kontroli to przecież nie ów dzielny rolnik zostałby wydalony z Królestwa Norwegii.

Pobudka o 6.10, mycie zębów, kanapka i pół godziny na rozklekotanym rowerze z trzema przerzutkami. Zapłata w zależności od liczby uzbieranych pojemników. Nigdy nie udało mi się dobić do stu koron za godzinę. Później tego samego lata i u tego samego rolnika zbierałam jeszcze ziemniaki

i zarabiałam trochę lepiej. Ale mdliło mnie od zapachu zgniłych ziemniaków i od jazdy tam i z powrotem na kombajnie.

Poza tym: Co by powiedziała babcia?

W *Leksykonie oksfordzkim*, który często czytywałam w dzieciństwie, hasłu o Polsce towarzyszyło zdjęcie przedstawiające rodzinę zbierającą ziemniaki. Pamiętam, że dzieci miały twarze umorusane ziemią. Na zdjęciu do hasła o Australii byli ludzie grillujący na plaży.

W swoim czasie Polska dostarczała ziemniaki do wielu krajów bloku wschodniego. A ja musiałam przyjechać aż do Norwegii, by wspiąć się na mój pierwszy kombajn.

Moja babcia założyła Towarzystwo Przyjaciół Dzieci w Tomaszowie Mazowieckim, mieście, w którym osiedliła się po II wojnie światowej. Chodziła z wysoko uniesioną głową, świetnie przemawiała, odebrała wiele medali za swoje zasługi i znała bezpośredni numer do pierwszego sekretarza PZPR. Po każdym wyrwanym zębie mlecznym dostawałam od niej kolejny medal. Jeden z jej wujków był białoruskim poetą, drugi – wiceministrem rolnictwa w powojennym rządzie w Polsce. W majątku, w którym się urodziła (wówczas na terenie Polski, dziś Białorusi), mieli w domu służącą i chłopaka do pomocy, który to ogarniał wykopki. Przed II wojną światową różnice klasowe w Polsce były ogromne i eksplodowały na powrót w latach 90. XX wieku.

Dziadek natomiast otrzymał swoje medale dopiero wtedy, w latach 90. Wtedy też ogłoszono go bohaterem, a nie jak wcześniej zbrodniarzem, po tym jak podczas II wojny światowej walczył jako partyzant zarówno przeciwko nazistom, jak i czerwonoarmistom, którzy to na zmianę okupowali jego rodzinne ziemie niedaleko Wilna. By móc wrócić do swojej wsi pod koniec wojny, sam sporządził dokument, który stwierdzał, że właśnie zwolniono go z obozu jenieckiego. I podbił go pieczętką zrobioną

z ziemniaka. Po wojnie, kiedy polowano na wrogów Polski Ludowej, zapotrzebowanie na dokumenty podstemplowane ziemniakiem wzrosło. Dziadek sfabrykował świadectwa urodzenia z nowymi imionami i nazwiskami dla siebie i swoich kolegów z partyzantki. Z Zygmunta stał się Janem. Ze Spiegłanina – Sapieżyńskim.

*

Po lecie w Norwegii wróciłam na studia do Warszawy. Co drugi miesiąc wsiadałam w autokar i jechałam dwie doby do Oslo, by zobaczyć się z Arem. On przyjeżdżał do mnie w ten sam sposób. Był tym egzotycznym pasażerem, jedynym bez polskiego paszportu, otoczonym przez polskich pracowników, którzy nazywali go Arkiem i wznosili toasty, kiedy tylko radio zaczynało łapać polskie fale.

Zimą zdarzało się, że w autokarach zamarzały toalety. Pasażerowie pili kawę z koniakiem albo wódką z termosu i snuli opowieści o życiu.

Zachowałam w pamięci strzępy tych dziś zasuszonych opowiadań o ciężkiej, fizycznej pracy, samotności i tęsknocie. I słowa kobiety siedzącej kilka rzędów przede mną, które wolałabym zapomnieć:

– Mówiła, że znalazła sobie faceta w Szwecji. A tu okazuje się, że to jakiś ciapaty!

Dlaczego się wtedy nie odezwałam? Pewnie dzisiaj bym to zrobiła, porozmawiałabym z nią. Ale wtedy byłam tylko w stanie wyobrazić sobie jej etnicznie zhierarchizowany świat, drabinę społeczną, po której próbowała się wspiąć. Jej potrzebę podkreślenia, że jest lepsza od innych nowo przybyłych.

*

Podczas jednej z tych podróży przeczytałam *Globalizację. I co z tego dla ludzi wynika* Zygmunta Baumana. W książce, wydanej po raz pierwszy w 1998 roku, Bauman kreśli obraz dwóch kategorii ludzi poruszających się po świecie: turystów i włóczęgów. Turyści to nowa globalna elita, która podróżuje dla przyjemności, odwiedza egzotyczne miejsca. Ma wolność wyboru albo zmiany miejsca zamieszkania i pracy. Realizuje się dzięki podróżom. Włóczędzy przeciwnie – przemieszczają się z konieczności. Uciekają przed wojną, prześladowaniami, katastrofami i nagłymi zdarzeniami. Wyjeżdżają za granicę, by zarobić potrzebne pieniądze. Imają się jakichkolwiek zajęć. Są podklasą w ciągłym ruchu.

Sam Bauman uciekał z Polski dwa razy. Pierwszy raz – podczas II wojny światowej, kiedy on i jego żydowska rodzina musieli opuścić Poznań okupowany przez nazistów i przedostali się (częściowo koleją, a częściowo piechotą) do Związku Radzieckiego. I drugi raz – kiedy już na dobre opuścił Polskę w 1968 roku. Tamta wiosna, która dzięki protestom studenckim w wielu krajach zmieniała świat, w Polsce zaowocowała czymś zupełnie innym: partia wykorzystała podskórny antysemityzm swoich obywateli, by obwinić „syjonistów” o problemy gospodarcze kraju i wyrzucić Polaków żydowskiego pochodzenia z zajmowanych przez nich stanowisk. Bauman był jednym z nich.

Później, już jako profesor Uniwersytetu w Leeds, stał się jednym z najznamienitszych socjologów na świecie.

*

W 2004 roku, z magisterką z iberystyki w kieszeni, na dobre przeprowadziłam się do Norwegii, razem z tysiącami innych Polaków, którzy przenieśli się tu w tym pamiętnym roku.

Wejście Polski do Unii Europejskiej zapoczątkowało wielką wędrówkę ludów na Zachód i na Północ Europy. Dzisiaj w Norwegii mieszka ponad sto tysięcy Polaków i są największą mniejszością w tym kraju.

Ale ich głosy rzadko słyhać w debacie publicznej. W wiadomościach i serialach telewizyjnych pokazuje się dość jednostronny obraz Polaków: głównie jako tych okupujących doły drabiny płacowej, rymujących „katolik” z „alkoholik”. Jako najniższą warstwę społeczną w kraju, który lubi nazywać się „bezklasowym”.

Są (jesteśmy) oskarżani o „duszenie” wzrostu płac, a podczas pandemii COVID-19 – o masowy „import” koronawirusa.

Była dziennikarka jednej z norweskich gazet opowiadała mi, jak zlecono jej zrobienie reportażu o Polsce w przededniu naszego wejścia do Unii. Redaktor naczelny zapytał ją po powrocie, dlaczego wśród zdjęć nie ma portretów kierowców ciężarówek i prostytutek w ciemnych zaułkach. I jak to możliwe, że młodzież, z którą przeprowadziła wywiady, zdaje się marzyć o tym samym, co ich norwescy rówieśnicy. Dziennikarka musiała wyjaśniać, że na tym właśnie polegał sens jej reportażu. Że być może nie różnimy się tak bardzo, jak nam się wydaje.

To dlatego chcę opowiedzieć tutaj moją historię i fragmenty historii zasłyszanych od innych Polaków w Norwegii.

Chcę przebić się przez dzielącą nas ścianę stereotypów i uprzedzeń.

Chcę Wam opowiedzieć, odważyć się powiedzieć to na głos, jak może smakować bycie Polakiem w Norwegii.

Chcę też powiedzieć coś o rasizmie, który może przybierać różne formy. Wielu z nas, którzy doświadczamy rasizmu, jest tak podobnych do Was, że stajemy się obcy, dopiero kiedy otwieramy usta i zdradza nas akcent.

Postaram się też powiedzieć coś o klasowości i hierarchii w norweskim społeczeństwie.

Jestem na tyle bezczelna, że chciałabym zwrócić uwagę, że „najlepsze krajowi na świecie” daleko do doskonałości.

Robię to, bo zależy mi na wartościach, na których zbudowano współczesną Norwegię: na równości, różnorodności, prawach pracowniczych, małych różnicach społecznych i solidnym państwie opiekuńczym. To o tym głównie piszę w moich tekstach dla polskich mediów. A teraz chcę napisać o tym, o czym wcześniej milczałam.

Ta książka długo we mnie dojrzewała. Jest świadectwem niepokoju, a jednocześnie deklaracją miłości dla pięknego, małego kraju, który uczyniłam moim własnym.

2

Czego się nie robi z miłości?

Kiedy przeprowadziłam się do Norwegii w 2004 roku, norweski system nie dawał mnie ani innym cudzoziemcom zbyt wielu powodów, by czuć się tu mile widzianymi. Kolejki w Urzędzie ds. Cudzoziemców (UDI) ciągnęły się w nieskończoność, a system numerków ciągle nawalał. Żeby otworzyć konto w banku, musiałam mieć tymczasowy numer identyfikacyjny (tzw. D-nummer), ale nie mogłam go dostać bez numeru konta. A by móc przebywać w królestwie dłużej niż trzy miesiące, musiałam albo tu studiować, albo pracować na cały etat.

Złożyłam dokumenty na studia magisterskie, ale mnie nie przyjęto.

– Już masz magisterkę – brzmiała odmowa.

Zostałam w Norwegii tylko dlatego, że Are jeszcze kończył studia. I w ten to sposób stałam się „poszukującą pracy Polką”, spędzającą czas w urzędzie pracy, gdzie był darmowy dostęp do internetu.

Języka nauczyłam się, słuchając pięknych, głębokich głosów na drugim programie norweskiego radia i z podręcznika z biblioteki miejskiej. Jako obywatelka kraju należącego do Unii Europejskiej nie miałam prawa do bezpłatnego kursu norweskiego, ale z bibliotecznego podręcznika *Klucz do Norwegii* dowiedziałam się o pojęciach *vorspiel* (co po norwesku oznacza: picie przed imprezą) i *nachspiel* (afterka), o wszechobecnych chatkach leśnych Norweskiego Towarzystwa Turystycznego, a także tego, że Norwegowie nie są mistrzami flirtu i że znalezienie norweskich przyjaciół może okazać się trudne. Na szczęście przygarnęli mnie przyjaciele Arego.

Eirik nauczył mnie piec żeberka wieprzowe i cytować w odpowiednich momentach fragmenty dramatu Ibsena *Peer Gynt*. Maria i Gard zabierali mnie na imprezy i na plażę. Liv i Tollef zapraszali na kolacje. Edvard zawsze mnie rozśmieszał. A Norweski Komitet Solidarności z Ameryką Łacińską przyjął mnie z otwartymi ramionami.

Starałam się o pracę w mojej ulubionej księgarni w Oslo, ale była tam już długa kolejka studentów literatury, więc w końcu ruszyłam w miasto ze stosem wydrukowanych CV. Ukończone studia nie były dobrze widziane, kiedy starałam się o pracę w supermarkecie Kiwi.

– Ty tu nie zostaniesz, zawyrokował szef sklepu.

I rzeczywiście, jego przepowiednia spełniła się momentalnie: wyszłam, nie otrzymawszy pracy.

Ale wreszcie się udało – dostałam pracę w sklepie z ubraniami na ulicy Karla Johana, głównym deptaku Oslo. Moja szefowa, podobnie jak rolnik od truskawek, też nie miała czasu, by poczekać, aż policja wyda pozwolenie na pracę. Ryzykowałam deportacją i misiem w paszporcie, a zatem (wcale nie pluszowym) wieloletnim zakazem wjazdu, który oznaczałby w moim przypadku rozłąkę z Arem. Liczyłam na to, że Inspekcja Pracy nie wpadnie z kontrolą. Nie wpadli. Dopiero później dowiedziałam się, że miałam sporo szczęścia, bo w 2004 roku padł dotychczasowy rekord deportacji z Norwegii – ponad tysiąc osób. Dziesięć lat później deportowano ich pięć razy więcej[2].

Pierwszego dnia w sklepie nauczyłam się słów *å brette* (składać) i *kleshengere* (wieszaki). Wkrótce wzbogaciłam swoje słownictwo o *glidelås* (zamek błyskawiczny), *blonder* (koronki) i *å (ikke) nuppe* [(nie) mechacić się]. Jedyni klienci, których nie mogłam zrozumieć, okazali się turystami z Danii. Na początku myślałam, że mają wadę wymowy. Dziś wiem, że choć pisany duński bardzo przypomina norweski, to duńska

wymowa jest tak niewyraźna, że według znanego (norweskiego) skeczu Duńczycy nie rozumieją się nawet wzajemnie.

Zaledwie dwa miesiące później sklep zbankrutował. Ci, którzy pracowali tam dłużej ode mnie, twierdzili, że właściciel miał jeszcze kilka sklepów, a temu pozwolił upaść, żeby to państwo przejęło i spłaciło jego długi. I tak dopiero latem pół roku później państwo opiekuńcze wypłaciło mi moją grudniową pensję.

Tymczasem dostałam pracę w nowym sklepie, który otwarto w tym samym lokalu. Nowy właściciel zabronił nam picia kawy w czasie pracy. Picie wody dozwolone było tylko podczas przerw i wyłącznie na zapleczu. Szef ogłosił też, że jeśli ktoś wstąpi do związków zawodowych, nie zostanie zaproszony na *pølsefest*, imprezę firmową, gdzie główną atrakcją stanowią parówki z grilla. Zapisalam się do związków jeszcze tego samego dnia.

Nie przepadam za norweskimi parówkami.

Wynajęliśmy mieszkanie w bogatej części zachodniego Oslo. Mieszkanie było tanie, bo należało do znajomej krewnej Arego, wdowy po malarzu. Cenę obniżał też fakt, że nie mieliśmy dostępu do największego pokoju, bo właścicielka składowała tam obrazy męża. Wkrótce właścicielka dostała list od grupy sąsiadów, w którym pisali, że „źle reagują” na moje nazwisko na skrzynce pocztowej. „Doprowadzi ono do spadku cen mieszkań w całej kamienicy” – argumentowali i prosili o jego usunięcie.

Długo wypierałam to wspomnienie. Chciałam wymazać z pamięci, że oni chcieli mnie wymazać. Nie chciałam grzebać w tym, co boli, żeby nie zgorzknieć. Widzę to nawet teraz przy pisaniu: spieszę się, żeby jak najszybciej skończyć ten fragment i iść dalej. Ale zatrzymuję się ze względu na ciebie, bo może przeżyłeś coś podobnego. Być może miałeś

problemy z wynajęciem mieszkania lub znalezieniem pracy ze względu na swoje nazwisko. Lub zdecydowałeś się nie mieszkać w tej czy innej dzielnicy, by nie wystawiać się na oceniające spojrzenia i komentarze.

Niedługo potem Are i ja wyprowadziliśmy się z tamtego mieszkania. Przez internet znaleźliśmy inne, w dzielnicy drewnianych domków Rodeløkka. Właściciel zaprosił nas, by pokazać nam mieszkanie, ale nie zdążyłam nawet otworzyć ust, a już musiałam stamtąd wyjść ze łzami w oczach.

– Strasznie przepraszam, że nie ma w tej chwili prądu – zaczął właściciel, rozkładając ręce. – Ci głupi Polacy pewnie odcięli kabel podczas pracy.

Nie był to jedyny raz, kiedy z trudem przęłykałam komentarze na temat polskości.

– Mam w ogrodzie wielu Polaków, są tacy tani – poinformowała mnie moja rodzinna pani doktor przy pierwszej wizycie.

Wyobraziłam ich sobie jako krasnale ogrodowe z wyprzedaży. Tani towar. Czy ja też byłam „tania”?

To zacznij im, proszę, porządnie płacić, miałam ochotę jej odpowiedzieć, ale nic nie powiedziałam.

Zamiast tego zmieniłam lekarza rodzinnego, zapisując się do przychodni w imigranckiej dzielnicy Grønland, gdzie średni roczny dochód na głowę, już po odliczeniu podatków, jest o setki tysięcy koron niższy niż w zachodniej części miasta, a średnia długość życia mężczyzn – o dziewięć lat krótsza niż w bogatym zachodnim Oslo[3].

*

Nie lubię, jak mnie ktoś szufladkuje i redukuje do stereotypu mojej narodowości. Tej „prawdziwej”, o którą ciągle jestem pytana. Jeszcze mniej

mi się podoba, czym moja („prawdziwa”) narodowość stała się we współczesnej Norwegii. Nie wybrałam etykiety, którą przykleja się mi na czoło. Nic na niej o mnie nie ma. Ale może jest tam napisane coś o społeczeństwie, w którym żyjemy?

A może ja zwyczajnie przesadzam?

Muszę zapytać innych, *compare the notes*.

*

Kamile pytam jako pierwszą. Znamy się od dawna i zamieszkałyśmy w Norwegii mniej więcej w tym samym czasie.

Robiąc herbatę, Kamila opowiada, że od dawna nie chce się jej już odpowiadać na pytanie, skąd jest. Kiedy pytanie się pojawia, woli, by ludzie zgadywali.

– Z Finlandii? – zgadują.

Kamila się śmieje, jej skośne oczy jeszcze mocniej się zwężają.

– Z Polski – podaje rozwiązanie zagadki.

– Aaa... – jest typową reakcją, zakończoną westchnieniem.

Pytanie numer dwa zwykle dotyczy pracy. Odpowiedź to: malarka. Ale kiedy rozmowa niespodziewanie zbacza na ceny i powierzchnie domów, okazuje się, że mało kto wyobraża sobie, że Kamila właśnie obroniła magisterkę na Akademii Sztuk Pięknych.

Wpisuję w Google: „Polacy”. Wyszukiwarka podpowiada: „Polacy malują domy cena”. Jest rok 2021.

Obrazy Kamili są dynamiczne, nieperfekcyjne, czasem niepokojące. Maluje bez planu; jej plan to utrata kontroli, zgubienie ścieżki w lesie, by spotkać samą siebie, ten rdzeń, który pozwala nam zostać sobą, mimo nacisków z zewnątrz. To wszystko opowiada Kamila do kamery na zoomie podczas obrony pracy magisterskiej w małym lokalu wystawowym

w dzielnicy Grønland w Oslo. Jest środek pandemii COVID-19, jej profesorowie siedzą przed ekranami laptopów w Warszawie. „Niemoc rzeczywistych podróży daje nam możliwość podróżowania w głąb siebie”. Nie pamiętam, czy mówi to Kamila, czy to moje własne myśli. Restrykcje w lokalu wystawowym ograniczają publiczność do jednej osoby, mamy więc przydzielone sloty. Wchodzę w maseczce i wpadam na chłopaka, który przyszedł godzinę przede mną. Paweł. Czy my się skądś znamy? Wychodzimy na zewnątrz i wreszcie możemy zdjąć maseczki. Paweł z przyjemnością wydmuchuje dym papierosa wysoko w górę i opowiada, że hoduje jadalne larwy i szuka pieniędzy, by wysłać grupę artystów w kosmos.

Rozmawiamy też o wspólnym znajomym, który wspina się w Alpach i na północy Norwegii. Jego specjalnością są zamarznięte wodospady i rozmowy, które nagle zamarzają:

– Z Polski? Słuchaj, kran mi się zepsuł.

*

Mirek to wielki gość z brodą. W Polsce uczył matematyki. Siedzimy przy długim stole w lokalu należącym do Związku Budowlańców w Oslo, rzut beretem od Youngstorget, gdzie co roku zaczyna się pochód pierwszomajowy. Spotykamy się, by porozmawiać o zaangażowaniu Mirka w ruch związkowy i jego pracy na rzecz zrzeszania polskich budowlańców w Oslo i okolicach. Mirek jest ich wsparciem i mężem zaufania.

Nagle, w środku rozmowy, pojawia się inna historia. O tym, jak kiedyś Mirek chciał wejść do klubu w Oslo, ale nie został wpuszczony przez ochroniarzy.

– Skąd jesteś? – zapytali.

– Z Polski.

– Niestety, w środku nie ma nikogo z Polski. – Zastąpili mu drogę.

Tydzień później Mirek wrócił.

– Z Grecji – powiedział tym razem i wszedł do środka bez żadnego problemu, witany przez uśmiechniętych ochroniarzy.

*

O Magdzie usłyszałam od norweskiej znajomej. Magda mieszka w Norwegii od przeszło dwudziestu lat i robi imponującą karierę w branży reklamowej. W wielu nagradzanych kampaniach próbuje walczyć ze stereotypami. Spotykamy się w kawiarni, tuż przed jej codzienną próbą chóru. Opowiada o tym, jak kilka lat temu zadzwonił do niej dziennikarz z pytaniem, co myśli o serialu „Walka o przetrwanie” pokazywanym w norweskiej telewizji publicznej. Wszyscy Polacy w serialu to robotnicy, którzy mieszkają w nędznych warunkach i stanowią podklasę na usługach bogatych Norwegów. Magda miała wiele do powiedzenia na temat serialu, ale najpierw dziennikarz chciał wiedzieć, czym się zajmuje.

– Pracujesz w agencji reklamowej? A to nie, to nie z tobą chciałem rozmawiać. Nie dałabyś mi numeru do jakiegoś robotnika?

Magda nie miała czasu, by podjąć rękawicę. Została z telefonem w ręku i chęcią, by zapytać, czy to właśnie nie jedna z ról mediów, by rozszerzać nasze horyzonty i przeciwdziałać stereotypizacji?

*

Katarzynę poznaję podczas pisania tej książki. Znajomy wspomina o niej, gdy mówię, że szukam ludzi do wywiadów.

Katarzyna opowiada, że w Oslo często jest pytana o drogę. Ma długie jasne włosy, wysokie kości policzkowe i minimalistyczny styl. Mogłaby być Norweżką.

Katarzyna pracuje raz w tygodniu w popularnej atrakcji norweskiej stolicy – pływających saunach. Ta praca to odskocznia od komputera; dużo świeżego powietrza, wspaniali współpracownicy, trochę noszenia drewna, oraz między różnymi praktycznymi zadaniami (jak kruszenie powierzchni lodu, aby odwiedzający mogli zażyć lodowatej kąpeli), trochę sprzątanania.

Kiedy Katarzyna ma akurat na rękach żółte gumowe rękawiczki, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nikt już nie bierze jej za Norweżkę. Tylko wraca litania pytań: Skąd? Skąd jest?

– Nie chcę o tym rozmawiać – odpowiada.

– To pewnie jesteś Polką. Albo Rosjanką!

*

Rozmawiam z moją przyjaciółką Yulią o tym, jak to jest być kategoryzowaną wbrew własnej woli. Yulia urodziła się w Kirgistanie w czasach Związku Radzieckiego, jest pół Rosjanką, pół Ukrainką. W Norwegii mieszka od czternastu lat. Pracuje w przedszkolu. Opowiada, że niedawno była z koleżankami z pracy na mieście i przysiedli się do nich norwescy dwudziestolatkowie, pewnie chcąc poplirtować. Kiedy usłyszeli, gdzie kobiety pracują, zaczęli pytać, skąd „tak naprawdę” są.

– Z Polski – odpowiedziała jedna.

– A, czyli sprzątasz w tym przedszkolu, tak? – było kolejnym pytaniem.

Yulia gestykułuje, jest wkurzona, kiedy o tym opowiada. Wyjaśnia, że oczywiście szanuje niedocenianą rolę osób sprzątających, ale akurat w tamtej sytuacji wszystkie kobiety pracowały jako przedszkolne pedagogki i byłoby miło, gdyby same mogły się przedstawić, nim ktoś je z góry zaklasyfikuje.

Yulii wraca jej wisielczy humor.

– Tak, oczywiście, ja jestem „kupną rosyjską żoną”, a ty, Ewa, „sprzątaczką” – mówi.

Zastanawiam się nad jej słowami.

To nie tak, że jestem brana za „sprzątaczkę”, ale nierzadko spotykam się z niedowierzaniem, kiedy wyjaśniam, że pracuję jako doradczyni polityczna.

Ja, Polka.

W sytuacjach, gdy Katarzyna nie ma na dłoniach żółtych rękawiczek, ludzie pytają, czym się zajmuje zawodowo.

Katarzyna jest kuratorką i krytyczką sztuki.

– Piszę o sztuce – odpowiada.

– Ty??

Piszący Polak to w Norwegii egzotyczny gatunek.

I nie trzeba być krytykiem sztuki czy politycznym doradcą, by wzbudzać zaskoczenie „jako Polak”.

Jest rok 2005. Koleżanka z pracy mówi, że nowy właściciel sklepu chce ze mną porozmawiać. To nietypowe, bo wszystkie sprawy załatwiamy z menedżerem, który jest tam każdego dnia, a właściciel prawie nigdy się nie zjawia. W swojej naiwności, a może raczej próżności, zaczynam się zastanawiać, czy właściciela sklepu doszły słuchy, o tym, że jestem niezła, jeśli chodzi o wyniki sprzedaży, i że robię fajne wystawy w oknach? Albo może ktoś mu szepnął, że z klientami z Portugalii i Brazylii rozmawiam po portugalsku, że poza angielskim i norweskim, z którym coraz lepiej mi idzie, potrafię się też porozumieć po hiszpańsku i niemiecku z morzem turystów płynących ulicą Karla Johana? Może da mi podwyżkę? Awans?

– To ty jesteś z Polski, tak? – zaczyna, mierząc mnie od stóp do głów. – Pracuje dla mnie wielu Polaków (tu potakuje zadowolony). Sprzątanie, elektryka, nawet polska opiekunka do dzieci. I do tego świetnie sprząta!

I tyle.

Na tym jego przemówienie się kończy.

Przygryzam wargę, by bolało gdzie indziej. Rozumiem, kogo widzi przed sobą. Pewnie uważa, że mam wiele szczęścia, że „jak na Polkę” jestem uprzywilejowana, bo nie muszę sobie brudzić rąk.

Urasowanie, mówią socjologowie, by opisać proces łączenia pochodzenia etnicznego z konkretną charakterystyką lub miejscem w hierarchii. To tu pojęcie „klasy” może też okazać się przydatne. Jako Polak będziesz w Norwegii często plasowany jako „podklasa”, jako „służący”.

I tu wkracza Gombrowicz (ta-da!) i podsuwa wymyślone przez siebie pojęcie „upupić”. W swojej twórczości Gombrowicz chętnie przyglądał się napięciom klasowym między chłopstwem (albo robotnikami) a klasą średnią. Temu, jak poprzez gesty, język i codzienne relacje klasa wyższa upupia tę niższą, jak cały czas daje jej odczuć, że jest niżej w hierarchii, zmusza jej przedstawicieli do odgrywania uległości, pokory i posłuszeństwa.

*

Kilka tygodni po mojej rozmowie z Yulią Katarzyna publikuje w norweskiej prasie artykuł, w którym deklaruje: „Nie jestem twoją sprzątaczką”.

I am not your cleaner.

Albo, aby zacytować Jamesa Baldwina: *I am not your negro.*

*

Siedzę i przyglądam się skarpetkom Dariusza (to różowe podkolanówki w zielone kółka). Ma na sobie też koszulę w palmy i żółtą czapkę

z daszkiem. Długa broda uwydatnia owal jego wąskiej twarzy. Jest przyjacielem Pawła, tego od larw.

Wiek: „cztery i pół dekady”, jak sam mówi. We Wrocławiu studiował literaturę, w Oslo studiuje na Akademii Sztuk Pięknych. Wcześniej remontował mieszkania, ale porzucił branżę budowlaną po tym, jak norweski inwestor zniknął z pieniędzmi.

Porzucił też pracę w przedszkolu, bo zaczytywał się Foucaultem i jego krytyką instytucji, które kontrolują ludzi i niszczą ich indywidualność. *Long story.*

W Norwegii Dariusz gra w zespole metalowym, a podczas wizyt w Polsce w postpunkowym. Regularnie grywa też w tenisa stołowego w parkach Oslo, najchętniej z Pawłem.

– Ludzie ciągle mnie pytają, skąd jestem – opowiada. – Zwykle odpowiadam, że jestem z Polski, ale że nie jestem Polakiem. I tylko niewielu drąży temat dalej. Ale z tymi, którzy chcą wiedzieć, co przez to rozumiem, mam naprawdę ciekawe rozmowy. Mówię im, że nie powinni sądzić, że cokolwiek o mnie wiedzą, bo udało im się mnie zaszufładkować jako „Polaka”. Że Polacy to zróżnicowana grupa, wychodzimy z fabryki w bardzo różnych fasonach i zajmujemy się masą dziwnych rzeczy. Wyjaśniam im też, że nie wybrałem swojego kraju pochodzenia. To był po prostu kosmiczny zbieg okoliczności.

Dariusz sporo ostatnio myśli o tożsamości. Spotykamy się zaraz po jego warsztatach w starej siedzibie Muzeum Edvarda Muncha. Warsztaty Dariusza są częścią ostatniej tu wystawy, zatytułowanej „Nadaj mi imię”, muzeum zaprasza w niej bowiem publiczność, by znalazła nowy tytuł dla obrazu, który Munch zatytułował „Murzyn w zielonym szaliku”. Polak w różowych skarpetkach, który nie jest Polakiem, razem z innymi uczestnikami warsztatów szuka nowego imienia dla gościa w zielonym

szaliku. Rozmawiają o tym, jak kiedyś rozumiano etniczność i „rasę”. Zgłębiają problemy współczesnego urasowienia i esencjalizacji, które redukują ludzi tylko do jednej jedynej kategorii. Które nadają ci imię, którego nie wybrałeś, i którego nie chcesz.

Przypomina mi się wiersz Wisławy Szymborskiej „W zatrzęsieniu”:

Jestem kim jestem.

Niepojęty przypadek

jak każdy przypadek.

Inni przodkowie

mogli być przecież moimi,

a już z innego gniazda

wyfrunęłabym

(...)[4]

3

Moja znajoma prowadzi kurs sztuki rozmowy. Na kursie można się nauczyć, jak zainicjować rozmowę, nie pytając o to, skąd rozmówca pochodzi ani czym się zajmuje. Można za to zagać pytaniem: W co się bawiłeś w dzieciństwie? Jaka książka jest dla ciebie ważna? O czym marzysz?

Grałam w gumę, skakałam na skakance, nie znosiłam gry w piłkę. Ja i moi przyjaciele już od pierwszej klasy podstawówki nosiliśmy z dumą zawieszane na szyi klucze do domu. W 1988 roku zakochałam się w Joeyu Tempeście, wokaliście szwedzkiego zespołu Europe. Ich płytę *The Final Countdown* miałam na nagranej z radia kasecie. Polskie radio puszczało w tym czasie całe albumy, bez przerw, by słuchacze mogli je skopiować. Kultura dla mas!

W moim norweskim paszporcie w miejscu urodzenia wpisano „Tomaszów Maz.”, skrót od (jak na norweskie warunki niemożliwie długiego słowa) Mazowiecki. Kiedy byłam mała, największą fabryką w mieście był Wistom, gdzie produkowano sztuczne włókna do izolacji radzieckich łodzi podwodnych^[5], chociaż nikt o tym wtedy nie wiedział. Nikt też nie miał pojęcia, co nocami leciało z kominów, ale smród był tak uciążliwy, że produkcję wstrzymywano w ciągu dnia, by dać odetchnąć mieszkańcom.

Długo tam nie zostaliśmy. Moi rodzice studiowali w Łodzi i dostali tam mieszkanie studenckie. Dzieliliśmy kuchnię i pralkę z rodziną z socjalistycznego afrykańskiego kraju na stypendium w socjalistycznym

kraju Europy Wschodniej. Z Łodzi przeprowadziliśmy się do wynajmowanego pokoju w Piotrkowie Trybunalskim. Pamiętam, że między miastami jeździliśmy z mamą autostopem. W tamtych czasach nie było w tym nic nadzwyczajnego. Kierowcy, którzy zabierali autostopowiczów, dostawali od nich kupony, które brały udział w loterii atrakcyjnych nagród.

Moi dziadkowie zostali w Tomaszowie, dzięki czemu nadal często śniłam swoje dziecięce sny wśród nocnych wyziewów z produkcji łodzi podwodnych. Widziałam też, jak wyglądało „życie po Wistomie”, bo sąsiad moich dziadków, który przez lata pracował w fabryce, wdychając pokaźną część tablicy Mendelejewa, w końcu postradał zmysły. Resztę życia spędził na rencie, stojąc w bramie i zalewając przechodniów niekończącym się potokiem przekleństw. Kiedy pierwszy raz usłyszałam tytuł książki *Przeklinam rzekę czasu* norweskiego pisarza Pera Pettersona, na myśl przyszedł mi tamten sąsiad.

W końcu zamieszkaliśmy w Bełchatowie. *Belle-château*, jak nazywam miasto z niby-francuska. *Belle i château* też są tylko na niby, bo w Bełchatowie nie ma żadnego pięknego zamku.

Miasto bije za to szereg rekordów: największa dziura w ziemi w kraju, największa kopalnia węgla brunatnego i największa elektrownia węglowa w Europie. A także szczytowe miejsce na liście najbardziej zanieczyszczających miast Unii Europejskiej. Kilka lat temu norweska gazeta „Klassekampen” opublikowała reportaż z Bełchatowa pod tytułem *Tam, gdzie słońce nigdy nie zagląda*[6].

Muszę cię tutaj rozczarować, droga czytelniczko lub czytelniku, bo słońce zagląda do Bełchatowa nie rzadziej niż do innych miejsc.

Ale fakt, według raportu z sierpnia 2021 roku elektrownia w Bełchatowie emitowała najwięcej gazów cieplarnianych wśród wszystkich elektrowni na świecie. Zaraz po jego ukazaniu się tych danych,

podczas dorocznej debaty szefów norweskich partii w Arendal, moje miasto zostało wspomniane jako „to miejsce w Polsce, które emituje 37 milionów ton dwutlenku węgla rocznie”, podczas gdy cała Norwegia wypuszcza do atmosfery około 50 milionów ton. Populistyczna prawicowa Partia Postępu FrP argumentowała w debacie, że głupotą jest redukcja emisji w Norwegii, skoro można by po prostu zamknąć „tamto miejsce”.

Zgadzam się, że nadszedł czas na zmiany w polityce energetycznej i zamykanie kopalń i elektrowni węglowych, ale na zawsze zostaną ze mną wspomnienia z liceum, kiedy siedzieliśmy z przyjaciółmi nocami, paląc i wydmuchując dym w ten postapokaliptyczny krajobraz, który pozostawiły po sobie ogromne maszyny. Nawet David Lynch dał się zauroczyć i zrobił kiedyś wystawę zdjęć z tego miejsca.

W momencie, kiedy to piszę, ustalona data zamknięcia bełchatowskiej kopalni i elektrowni to rok 2036. To, że nie zostaną zamknięte od razu, wywalczone zostało przez górnicze związki zawodowe, które nadal trzymają się mocno. Bo na razie nie ma konkretnego planu stworzenia nowych zielonych miejsc pracy dla byłych górników. A jeśli miejsc pracy nie będzie, Bełchatów pewnie skurczy się do swoich pierwotnych rozmiarów.

Dawno temu był małym żydowskim miasteczkiem. Nazwa pochodzi od bełkotać, więc pewnie nadana została przez tych, którzy uważali, że bełchatowianie mówią łamanym polskim; przez tych, którzy nie rozumieli jidysz. Żydzi stanowili w pewnym momencie 70 procent populacji; większość z nich zamordowano w pierwszym obozie koncentracyjnym w Chełmnie nad Nerem w 1942 roku, sto kilometrów na północ od Bełchatowa.

Nigdy nie byłam w Chełmnie nad Nerem.

Dopiero jako dorosła dowiedziałam się, że park, w którym bawiłam się w dzieciństwie, przed wojną był żydowskim cmentarzem. Naziści wykorzystali płyty nagrobne do regulacji koryta rzeki. Kiedy dorastałam, nie znałam nikogo, kto przyznawałby się do żydowskich korzeni. Za to sama nierzadko słyszałam, że wyglądam na Żydówkę. Cokolwiek miałyby to znaczyć. Później, kiedy już studiowałam w Warszawie, miałam szansę zgłębić temat za każdym razem, kiedy mijałam kiosk przy Instytucie Języków Romańskich. Sprzedawali tam bowiem czasopismo pod tytułem „Jak Rozpoznać Żyda” (sic!).

Kiedy w 1980 roku w Bełchatowie ruszyło wydobycie węgla, blokowiska zaczęły tu rosnać jak grzyby po deszczu. Armia robotników i inżynierów z rodzinami zajęła miasto. Wśród nich był mój ojciec, któremu kopalnia wypłacała stypendium już podczas studiów inżynierskich, a to zobowiązywało do przeprowadzki, mimo że miasto jeszcze nie było gotowe, gdy zamieszkaliśmy w nim w 1983 roku. Podczas gdy w mieście jeszcze brakowało chodników, my już siedzieliśmy na dywanie w przedszkolu i przygotowywaliśmy przedstawienie barbórkowe. Pamiętam te wierszyki o węglu. Jeden z nich mówił, że ten brązowy kamień można przemienić we wspaniały lek – aspirynę „białą jak śnieg”. Magia, myślałam.

Jako chemiczka moja mama dostała pracę w fabryce napojów gazowanych, jej zadaniem była kontrola składników oranżady. Odziana w fartuch, w laboratorium pełnym probówek, sprawdzała zawartość cukru w sztucznie zabarwionym płynie. Przez całe dzieciństwo nie wolno mi było tknąć oranżady.

Do szkoły poszłam w roku 1987, do jednego z tych nowych, przerośniętych, betonowych kombinatów. Chodziłam do klasy P w skrzydle D. Uczniów trzeba było podzielić na trzy zmiany. Rodzice chcieli, żebym

uczyła się języków, ale nie rosyjskiego, bo ten był do tej pory obowiązkowy i był dla nich językiem „imperium zła”, które zaatakowało Polskę w 1939 roku, po tym jak ministrowie spraw zagranicznych Hitlera i Stalina uścisnęli sobie dłonie; imperium, które do 1989 roku miało ostatnie słowo w polskiej polityce.

W latach 80. nie było w Bełchatowie nauczycieli angielskiego. Ale byli germaniści. I od razu mogłam poćwiczyć swój raczkujący niemiecki, bo w 1989 roku pojechałyśmy z mamą na wakacje do Niemiec Wschodnich. Pod okno wystawowe Wschodu skierowane na Zachód. Odwiedziłam tam mój pierwszy w życiu supermarket. Wybór towarów był oszałamiający! Sprzedawali nawet prawdziwą czekoladę, podczas gdy w Polsce można było wtedy kupić tylko „wyroby czekoladopodobne”. Nazywały się tak, ponieważ nie zawierały kakao, było to bowiem w zamierzchłych czasach przed erą speców od kampanii reklamowych i produkty nazywano nadal jeszcze tym, czym naprawdę były.

Nasze paszporty były ważne tylko na zaprzyjaźnione „republiki socjalistyczne”, ale dostaliśmy pozwolenie na jednodniową wycieczkę do Berlina Zachodniego – w towarzystwie oficera Stasi w autobusie. Wszyscy Polacy mieli ze sobą coś na sprzedaż. Papierosy, kryształki i zegarki chcieli wymienić na deutsche marki. Różnice w cenach między Polską a Niemcami Zachodnimi były tak ogromne, że opłacało się sprzedać cokolwiek. Ja i mama miałyśmy okazałych rozmiarów męską kurtkę dżinsową.

– Ta kurtka należy do mojej mamy – wydukałam po niemiecku, po chwili rozważań natury gramatycznej i etycznej, patrząc w oczy wyższego ode mnie o metr celnika.

Kurtka sprzedawała się od razu.

A niemiecki okazał się zbędny, bo targowanie odbywało się poprzez wbijanie liczb na kalkulatorze.

Achtung, Achtung! Meine Damen und meine Herren, herzlich willkommen und nicht verstehen. Tak zaczyna się punkowa piosenka zespołu Big Cyc z 1990 roku pod tytułem *Berlin Zachodni*. Moje pokolenie zna ją na pamięć. Opowiada historię pomysłowych Polaków, którzy masowo jeździli do Berlina Zachodniego na handel, by oszukać biedę, przeskoczyć kilka oczek do przodu w świecie wielkich nierówności gospodarczych między krajami.

*Pilsnera wypić trzema łykami
Opylić fajki, kupić salami
Gdy Polizei to dawać chodu
Wrócisz do kraju, będziesz do przodu
A w jeden dzień zarobisz tyle
Co górnik w miesiąc w brudzie i w pyle.*

Tak to szło. Na okładce płyty był Lenin z irokezem. A ja byłam dumna z przynależności do grupy, która potrafi sobie poradzić „na dzikim zachodzie” mimo braku znajomości języka, mimo tego ciągłego *nicht verstehen*. Z perspektywy czasu trudno powiedzieć, czy byliśmy bardziej Mohikanami czy Leningrad Cowboys, ale potrafiliśmy patrzeć na siebie z dystansu, śmiać się z samych siebie.

Pamiętam, że z nosem przyklejonym do szyby autobusu widziałam tamtego dnia obie strony muru berlińskiego skąpanego w słońcu. Uzbrojeni żołnierze po jednej – graffiti po drugiej. Słyszałam, jak dorośli szepczą, że setki ludzi zastrzelono przy próbie ucieczki na Zachód. Gumowe ucho oficera Stasi nasłuchiwało.

*

– Rozwalają mur! – opowiadał mój ojciec kilka miesięcy później, w listopadzie 1989 roku.

Wrócił właśnie z Berlina Zachodniego maluchem załadowanym kolorowymi telewizorami na sprzedaż (były drogie, ale kto nie marzył o kolorowym telewizorze, szły jak woda). Dla mnie to też był szczęśliwy dzień, bo dostałam słoik nutelli i paczkę naklejek. Mój ojciec widział ludzi siedzących na murze, widział jak go burzą, świętują.

Więc i my świętowaliśmy.

Cóż mogliśmy wtedy wiedzieć o murach, które miały powstać później, kilkadziesiąt lat po zakończeniu zimnej wojny i po tym jak amerykański politolog Francis Fukuyama ogłosił „koniec historii” – koniec ideologicznych przepaści i murów między państwami.

W Europie jest obecnie około tysiąca kilometrów murów, które odgradzają nas od uchodźców i migrantów. Większość tych murów zbudowano po 2015, roku tak zwanego „kryzysu uchodźczego”[7].

Kiedy piszę te słowa, wiosną 2022 roku, Polska buduje płot na granicy z Białorusią, by powstrzymać uchodźców z Bliskiego Wschodu.

Co roku umierają tysiące ludzi, którzy wyruszają przez morze w kierunku Europy, bo mury, druty kolczaste i żołnierze odcinają im inne bezpieczniejsze szlaki.

*

Polska, rok 1990. Pierwsze wolne wybory prezydenckie wygrał właśnie Lech Wałęsa. Cała drżałam, kiedy rozmawialiśmy o tym na szkolnym boisku. Miałam zaledwie dziesięć lat, ale czułam, że dzieje się coś ważnego, że to jest coś, co zapamiętam na zawsze. Podczas kampanii wyborczej Wałęsa powiedział, że „nie chce, ale musi” kandydować. Nie na darmo siedem lat wcześniej dostał Pokojową Nagrodę Nobla, którą

odebrała w Oslo jego żona Danuta. Lech obawiał się, że nie wpuszczą go z powrotem do kraju, a on miał jeszcze tyle do zrobienia.

Już w 1989 roku rząd tymczasowy wprowadził program gospodarczej „terapii szokowej”. Przywódcy komunistyczni zaplanowali go wspólnie z przedstawicielami Solidarności i zgodnie z doktryną ekonomisty Jeffreya Sachsa. Według niej Polska powinna obrócić się na pięcie, zacząć wprowadzać w życie neoliberalną biblię, zagranicznych inwestorów zwabić niskimi podatkami, odchudzić państwo, pozamykać albo sprzedać „nierentowne przedsiębiorstwa państwowe”.

W kraju, w którym wcześniej był obowiązek pracy, nagle wybuchło bezrobocie. Minister pracy rozdawał zupę na ulicach. Ludzie stali w kolejkach po zasiłki w miastach pozamykanych fabryk i wsiach, gdzie z dnia na dzień ustawała produkcja w pegeerach. Wielu wyjechało za granicę, kiedy tylko zniesiono obowiązek wizowy, mimo że na pozwolenie na pracę w krajach Zachodu przyszło nam poczekać kolejnych piętnaście lat.

W czasie mojego dzieciństwa i wczesnej młodości Polska przeszła drogę od kraju praktycznie pozbawionego różnic społecznych do jednego z państw o największych nierównościach w Europie[8]. Różnice wzrastały szybko po upadku komunizmu i nie przestały rosnąć po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku. Wówczas statystyki bezrobocia wyglądały zdecydowanie lepiej niż w latach 90. (nawet podczas kryzysu gospodarczego w całej Unii w 2008), ale to między innymi dlatego, że połowa moich przyjaciół jeździła na rikszy, pracowała na zmywaku albo stała za barem w Wielkiej Brytanii. Ich nie było w statystykach bezrobocia.

Są w Polsce dzieci, które przychodzą do szkoły bez śniadania i to nie dlatego, że się odchudzają. Programy społeczne wprowadzone przez rządy Prawa i Sprawiedliwości po dojściu do władzy w 2015 roku były więc dla

wielu kluczowe. 500 plus przewyższa nawet wysokość podobnego świadczenia w Norwegii. Partia szybko skonsolidowała władzę kosztem liberalnej elity politycznej, która przeszła do opozycji. Liberałowie nie przejmowali się tym, że wielu wyborców żyło w biedzie i nie podzielało ich zachwyty wolnym rynkiem. A PiS mówił właśnie do nich.

U nas w domu nigdy nie brakowało jedzenia. Moi rodzice sprawnie serfowali na fali sprywatyzowanej gospodarki. Bardziej z fascynacją niż ze strachem obserwowałam galopującą inflację: jajka były po 1800 złotych ostatnim razem, dziś kosztują 2000, czy cena dobieje do 2200 złotych w piątek? W 1992 roku wypuszczono nowy banknot wart dwa miliony i tym samym wszyscy zostaliśmy milionerami.

Rok później zaczęłam korespondować z dziewczynką z południowych Niemiec, które były częścią Niemiec Zachodnich, zanim historia polityczna nie trąciła łokciem geografii i nie doszło do zjednoczeniu kraju. Byłyśmy rówieśniczkami, pisałyśmy do siebie o muzyce i o chłopakach i nie mogłyśmy się doczekać szkolnej wymiany zaplanowanej na kolejne lato. Na zdjęciu, które mi wysłała, miała długie czarne włosy. Miała też tureckie imię, które znaczy „morze”. Ale zanim pojechaliśmy na wymianę do Niemiec, moja nauczycielka zdecydowała, że trzeba mi znaleźć inną osobę do korespondencji.

Protestowałam.

– To dla twojego dobra – brzmiała odpowiedź.

I w zamian dostałam list od córki dyrektora szkoły, mimo że była ode mnie prawie dwa lata młodsza i irytowała mnie, twierdząc, że język polski brzmi okropnie albo że wszyscy wielcy kompozytorzy byli Niemcami, łącznie z Chopinem rzecz jasna. Ale tym, co najbardziej mnie uderzyło, kiedy w końcu przyjechałam na wymianę do małego, śpiącego miasteczka na południu Niemiec, były wyraźne podziały etniczne. Etnicznie niemieckie

dzieci bawiły się z etnicznie niemieckimi dziećmi, nie z kolegami o tureckich korzeniach. Kiedy zapytałam dlaczego, tylko wzruszali ramionami.

W domu w Polsce oglądaliśmy MTV z kablówki. Dawno już zapomniałam Joeya Tempesta, w 1994 roku mój świat kręcił się wokół Kurta Cobaina i Nirvany. Na płytach gramofonowych mojego ojca odkryłam Leonarda Cohena, a Boba Marleya – na pirackich płytach CD. Ścieżka dźwiękowa z pobliskiej rzeźni sprawiła, że zostałam zdeklarowaną wegetarianką. Kupowałam tylko używane ubrania i, ku rozpaczy mojej mamy, chodziłam głównie w o wiele za dużym swetrze dziadka. Jako szesnastolatka mogłam po raz pierwszy pojechać na Przystanek Woodstock z przyjaciółmi, a nie w towarzystwie mamy, jak rok wcześniej. Sprawiałam sobie kolczyk w brwi i odkryłam Toma Waitsa. Z przyjaciółmi graliśmy covery Iggiego Popa i Pearl Jamu w garażu i oglądaliśmy jeden po drugim wszystkie filmy Tarantina, Greenawaya, Jarmuscha i Almodóvara. Na festiwalu reggae w Niemczech, razem z moją amerykańską nauczycielką medytacji, sprzedawałam *Energy Balls*, z których dochód był przeznaczony na dom dziecka w Rumunii. Nauczycielka była z Ananda Margi, grupy oskarżonej o porwanie samolotu w Indiach, co najprawdopodobniej było sfabrykowanym oskarżeniem wynikającym z powiązań organizacji z lewicowymi radykałami. Zakończenie liceum uczciłam, robiąc sobie dredy, po czym pojechałam stopem do Amsterdamu, a stamtąd do Francji i Hiszpanii. To był mój *interrail*, w gratisie.

Toma Waitsa widziałam na żywo w Sali Kongresowej Pałacu Kultury, który Stalin sprezentował Warszawie. Miałam najtańszy bilet, na odległym balkonie, więc kiedy ochroniarze patrzyli akurat w inną stronę, zeskoczyłam i poszłam tańczyć pod sceną.

Time is just memory mixed in with desire, śpiewał Waits, a czas się zatrzymał.

Fala prywatyzacji lat 90. przyniosła ze sobą róże i jaskrawe zielenie i zalała nimi kioski i wystawy sklepowe. Okładki tłumaczonych z niemieckiego tygodników kusily całą paletą barw. Kobiety farbowały sobie włosy na fioletowo i pomarańczowo. Na podstawie rozmów z Norwegami o tym, jaki mają obraz Polski, zastanawiam się, czy norweska telewizja publiczna przypadkiem nie nakładała na kamerę szarego filtra przy reportażach z mojej ojczyzny aż do końca pierwszej dekady XXI wieku.

Przy pierwszej wizycie w Oslo dwadzieścia lat temu zaskoczyło mnie to, że wszyscy przyjaciele Arego jedli mięso i że w całym towarzystwie była oprócz mnie tylko jedna dziewczyna z dreadami.

Była z Węgier.

4

Tęsknię za osobą, którą byłam, kiedy mogłam opisywać świat we własnym języku. Tęsknię za polskimi grami słownymi i zabawniejszym, metaforycznym sposobem wyrażania myśli. Ale pisanie po norwesku mnie dyscyplinuje. Lubię używać krótkich zdań bez ryzyka, że mój przekaz będzie odebrany jako niedostatecznie intelektualny. Lubię precyzję, jaką dawać mogą słowa powstające w norweskim ze złożenia dwóch słów. Lubię móc przejść do sedna bez przydługich przedmów. Na pytanie, dlaczego porzucił ojczysty angielski i zaczął pisać po francusku, Samuel Beckett odpowiedział, że to z potrzeby bycia „źle wyposażonym”. Przy mniejszej liczbie narzędzi trzeba się skupić na esencji.

Nie tylko my władamy językiem. Język też włada nami.

Słowa mogą budować. Albo niszczyć.

Kiedy koleżanka z pracy powiedziała mi, że mówię łamanym norweskim i nie powinnam reprezentować naszej organizacji w radiu, byłam w stanie tylko niewyraźnie się uśmiechnąć, a potem ukryć się w toalecie.

Teraz, po czasie, myślę, że miała na myśli to, że mówię z akcentem. To prawda, mówię z lekko wyczuwalnym polskim akcentem. Ale czy dla mojego pracodawcy jest to powód do wstydu? Czy byłoby inaczej, gdybym miała francuski, niemiecki albo brytyjski akcent? Czy akcent jest problemem, bo zdradza moją polskość?

Słowo *polakk* (Polak) mieści w sobie o wiele więcej niż tylko fakt bycia z Polski. „Polakami” określa się w Norwegii często wszystkich

pracowników z Europy Wschodniej, cudzoziemców, którzy podejmują się gorzej płatnych prac, albo tych, którzy „kradną nasze miejsca pracy”. W języku norweskim istnieją określenia jak *polakkjobber* (polskie zawody, czyli murarz, stolarz itp.) albo *polske arbeidstimer* (polskie godziny pracy, czyli długie dniówki). W autobusach i tramwajach słyszę czasami, jak ludzie wypowiadają *polakk* z pogardą. Także w mediach i w debacie publicznej słowo to ma często negatywny wydźwięk. Za każdym razem robi mi się nieswojo, kiedy słyszę *polakk* (brzmiące przecież niemal tak samo w moim języku), ale użyte w znaczeniu „podklasa”, „wykorzystywany”, „gorszy”, „niechciany”.

Jak do tego doszło?

W 2005, rok po wejściu Polski do Unii Europejskiej, w Norwegii było zarejestrowanych 8000 Polaków. Rok później było nas już niemal 11 000, a w 2007 roku przeszło 17 000. W 2008 roku 30 000 mieszkających w Norwegii Polaków stało się najliczniejszą mniejszością, bijąc na głowę Pakistańczyków i Szwedów^[9]. Badania z 2007 roku pokazują, że polscy migranci trafiali przede wszystkim do branż budowlanej albo sprzątającej, charakteryzujących się niepewnością i tymczasowością, a ich możliwości awansu lub znalezienia innego zatrudnienia były nikłe^[10]. Media prześcigały się w tłumaczeniu norweskiej publiczności, skąd nagle wzięli się ci wszyscy Polacy i jakie jest ich miejsce na rynku pracy, aktywnie przyczyniając się w ten sposób do takiego, a nie innego stosunku do tej grupy.

Któregoś wiosennego poranka w 2006 roku, dwa lata po rozszerzeniu struktur Unii, przeczytałam w jednej z najbardziej prestiżowych gazet, „Aftenposten”, że „Polacy dławią wzrost płac”.

Sprowokowana napisałam wtedy komentarz:

„Od momentu rozszerzenia Unii Europejskiej rzeczywiście największa grupa migrantów zarobkowych przybyłych do Norwegii pochodzi z Polski. Nie ulega też wątpliwości, że norweski sektor prywatny czerpie ogromne zyski z dostępu do nieuzwiązkowanej siły roboczej, niemającej wygórowanych oczekiwań co do wynagrodzeń. Co jest zatem nie w porządku z tytułem z «Aftenposten» z 7 kwietnia «Polacy dławią wzrost płac»?

Określanie wszystkich gorzej opłacanych cudzoziemców mianem «*polakker*» nie tylko tendencyjnie upraszcza rzeczywistość, ale nosi też znamiona rasizmu. «Aftenposten» czyni przedstawicieli całej nacji synonimem pracowników, którzy stoją na najniższym szczeblu norweskiej drabiny społecznej, i jednocześnie obwinia ich o «dławienie» wzrostu zarobków. Tabloidowe słownictwo użyte w artykule sprawia, że konkretna narodowość zaczyna negatywnie się kojarzyć. Domyślam się, że «Aftenposten» nie chciało przyczynić się do rozwoju sytuacji, w której ja jako Polka waham się, czy mówić skąd jestem, ale tak niestety się dzieje – polskość jest na dobrej drodze, by w pewnych kontekstach stać się obelgą”[11].

Dwanaście lat później fundacja badawcza Fafo zorganizowała seminarium pod tytułem „Czy *polakk* to obelga?”, co spotkało się z wieloma negatywnymi reakcjami[12]. Wielu ludzi uważało, że tytuł był stygmatyzujący, ale pytanie jest jak najbardziej aktualne. Prelegentka seminarium – Linda Marie Dyrliid z Norweskiego Uniwersytetu Nauki i Techniki w Trondheim (NTNU) – przedstawiła analizę obrazu Polaków w norweskich mediach w latach 2008–2011. Dominowały trzy ramy medialne: Polak jako „ofiara”, „ten pracowity” i „obcy”. „Podstawą wszystkich tych trzech konstrukcji jest założenie, że pochodzenie etniczne

czy też narodowość stanowią decydującą różnicę, jeśli chodzi zarówno o cechy, jak i prawa”, podsumowała Dyrliid[13].

Ale ani ona, ani nikt z gości seminarium nie odpowiedział na pytanie zadane w tytule.

Odpowiedź znalazłam za to na liście najpopularniejszych obelg używanych w norweskich szkołach. Na podstawie odpowiedzi z pięćdziesięciu gimnazjów i liceów zebranych przez norweską agencję informacyjną NTB w 2019 roku „homo” i „dziwka” uplasowały się na szczycie listy. „Polakk” znalazł się nieco niżej w rankingu, w towarzystwie „Żyda”, „czarnucha”, „ciapatego” i „ziemniaka”[14].

„Ziemniak” jest poniżającym określeniem na Norwegów o jasnej karnacji, używanym głównie w szkołach, gdzie większość uczniów ma ciemną skórę. Podobnie w Niemczech, słowo *Kartoffel* funkcjonuje wśród przedstawicieli mniejszości jako pejoratywne określenie na etnicznych Niemców.

W Wielkiej Brytanii z kolei „ziemniak” znaczy w slangu... Polak.

Dowiaduję się tego od Karoliny, Polki-Norweżki, która przez wiele lat mieszkała w Londynie, nim przeprowadziła się do Oslo. Znalazłam ją przez znajomego w trakcie poszukiwań rozmówców do książki.

Pytam, skąd ten ziemniak.

– W Londynie słyszałam, że to ma ponoć coś wspólnego z tym, że polscy mężczyźni mają często okrągłe twarze i krótkie szyje – wyjaśnia.

Szukam dalej. W Niemczech już w połowie XVIII wieku ludzi pochodzących ze wsi nazywano *Kartoffel*. Byli to przeważnie biedni chłopci, których dieta składała się głównie z ziemniaków. Brakowało im wykształcenia, więc brani byli za głupszych. We współczesnym języku niemieckim mianem kartofla nadal określa się kogoś „głupiego”. Podobnie słowo funkcjonuje w brytyjskim angielskim, gdzie *potato* mówi się

poniżająco o Polakach, którzy są biedniejsi od Brytyjczyków i często pochodzą ze wsi. Ziemniaczana etykieta stygmatyzuje ich jako „głupszych” i „mniej cywilizowanych”.

Biedne ziemniaki. Cóż o ich przyszłych losach mógł wiedzieć Kolumb, przywożąc je z Ameryki Łacińskiej do Europy pięćset lat temu?

*

By lepiej zrozumieć, jak przez lata formował się i zmieniał obraz Polaków w norweskich mediach, umawiam się na rozmowę z analitykiem Jakubem Godzimirskim. Jakub przeprowadził się do Norwegii w 1987 roku, po tym jak jego żona dostała pracę jako konserwatorka papieru w Muzeum Muncha. Ze swoim doktoratem z antropologii Jakub nie był na norweskim rynku pracy równie łakomym kąskiem jak żona, zwłaszcza na początku. Ale znając siedem języków, mając doświadczenie w analizach bezpieczeństwa i – co w latach 90. było nowością – kurs o bazach danych, dostał w końcu pracę w Norweskim Instytucie Polityki Zagranicznej (NUPI). To właśnie tutaj rozmawiamy teraz przy kawie – w jego gabinecie w NUPI, gdzie książki pokrywają wszystkie ściany i pną się jak wieże na biurku i dzielącym nas stoliku.

– Jako kto się identyfikujesz? – chcę wiedzieć.

– Jako znorweżony Polak – śmieje się. – Który na dodatek prowadzi badania nad grupą, do której sam należy.

Analiza przeprowadzona przez Jakuba pokazuje, że zainteresowanie mediów Polakami gwałtownie wzrosło między 2004 a 2005 rokiem i eksplodowało rok później około sześciuset artykułami w największych gazetach „Aftenposten”, „VG” i „Dagbladet”, by od 2008 roku zacząć stopniowo spadać. W 2004 roku co trzeci artykuł na temat Polaków w Norwegii wydrukowany w „Aftenposten” dotyczył przestępczości.

Dziesięć lat później już tylko 12,5 procent artykułów o Polakach zaliczało się do kroniki kryminalnej. W 2004 w przeszło 40 procentach tekstów o Polakach „Aftenposten” określało ich mianem taniej siły roboczej. Dekadę później dotyczyło to jednej trzeciej tekstów[15]. Badania Jakuba sugerowały, że obraz Polaków w norweskich mediach stawał się nieco mniej jednostronny, mniej stygmatyzujący.

I wtedy nadeszła pandemia.

Prawicowy rząd długo zwlekał z ustanowieniem obowiązkowych testów na granicy, media natomiast szybko znalazły sobie kozła ofiarnego.

„Sto gmin zostało zainfekowanych wirusem z Polski” meldowała Norweska Agencja Prasowa w październiku 2020 roku. Wiadomość szybko podchwycił szereg mediów, również popularny tabloid „VG”[16].

Hm, czy to rzeczywiście sensacja, skoro najliczniejsza mniejszość pochodzi z Polski, a Polacy mieszkają niemal we wszystkich norweskich gminach?

„Tuż po nowym roku przylecą 84 samoloty z Polski”, ostrzegał tabloid „VG” 10 grudnia 2020 roku. „Inwazja” – alarmowała 8 stycznia gazeta z północy Norwegii „Nordlys”.

Podczas programu „Debatten” w telewizji publicznej NRK 12 stycznia 2021 roku Sylvi Listhaug z populistycznej prawicowej Partii Postępu (FrP) ostrzegała, że przez granicę masowo przedostają się teraz „oszuści, którzy mogą roznosić wirusa”[17].

Kilka dni później, podczas telewizyjnych wiadomości o osiemnastej, ówczesna przedstawicielka opozycji, a późniejsza minister zdrowia Ingvild Kjerkol, powiedziała, że słyszała o samolocie z Polski, w którym prawie wszyscy pasażerowie mieli pozytywny wynik testu na covid[18].

„Tak łatwo jest zdobyć sfałszowany polski test na koronawirusa” donosiło NRK 25 stycznia, po tym jak ich dziennikarze spróbowali kupić

w sieci zaświadczenie o negatywnym wyniku testu[19].

Publikacje te sprowokowały lawinę nienawistnych komentarzy. Mam siłę zacytować tylko kilka:

„I po jakiego grzyba ci Polacy w ogóle tu przyjeżdżają?”

„Weźcie przyślijcie policję ze wschodniego Finnmarku, żeby tym zjebanym Polakom wlepić tysiące kar za łamanie zasad pandemicznych”[20].

Ale jeszcze gorsze były konsekwencje w codziennym życiu, bo wielu przylepiono łatkę roznosicieli wirusa.

„Dotarł do nas przypadek pielęgniarki, która mieszka w Norwegii od wielu lat, ale teraz boi się wyjść do sklepu w obawie przed negatywnymi komentarzami. Czy przypadek fachowca, który spotyka się z podejrzliwością swoich klientów, gdy tylko mówi, że jest z Polski”, napisały dwie pracowniczki Caritasu w gazecie „Dagbladet” w listopadzie 2020 roku[21].

Pani sekretarz generalna organizacji Miejska Pomoc Przykościelna (Kirkens Bymisjon) ostrzegła w „Dagbladet” w styczniu 2021 roku przed nasilającą się stygmatyzacją migrantów na skutek oskarżeń o roznoszenie wirusa. „Niektórzy proszą własne dzieci, żeby w szkole nie rozmawiały po polsku, aby uniknąć prześladowania”, napisała[22].

Gazeta „Klassekampen” opisała historie polskich matek, których dzieci wracały z przedszkola z płaczem, bo nikt nie chciał się z nimi bawić. Okazywało się, że to rodzice zabraniali im kontaktów z „roznoszącymi wirusa” dziećmi[23].

Ludzie odsuwali się, kiedy przedstawiałam im moją w pełni zaszczepioną mamę, gdy przyleciała z wizytą latem 2021 roku, mimo że wówczas Polska była tak zwanym zielonym krajem z wyższym wskaźnikiem zaszczepionych niż Norwegia.

Ledwo mam odwagę ruszać ten temat. Bo zgadza się: jesienią 2020 roku w Polsce było o wiele więcej zachorowań niż w Norwegii. Co więcej: w 2021 roku norweskie media wiele pisały o tym, że wskaźnik zaszczepień jest niższy wśród osób urodzonych w Polsce niż wśród reszty norweskiej populacji. Tyle że statystyki nie obejmują zaszczepionych za granicą, jeśli oni sami nie zarejestrowali szczepionki w norweskim systemie (co na początku kosztowało między 250 a 700 koron[24]). To oczywiste, że wielu Polaków zaszczepiło się w Polsce. Sama też to rozważałam, gdy zobaczyłam, że moja grupa wiekowa dostanie szczepionkę w Polsce dwa miesiące wcześniej niż w Norwegii. Jest też naturalne, że jeśli nie ma się norweskiego numeru identyfikacyjnego ani lekarza pierwszego kontaktu w Norwegii, to człowiek szczepi się w kraju, którego system pozwoli na wydanie mu paszportu covidowego.

Robienie z mniejszości kozła ofiarnego jest zwyczajnie niebezpieczne. Przykłady obwiniania mniejszości etnicznej o roznoszenie chorób znamy z ciemnych kart historii. Podczas II wojny światowej na murach getta w Warszawie i wielu innych miastach wisiały ostrzeżenia, że zamknięci w getcie Żydzi są źródłem zakażenia tyfusem. Robiąc z Żydów roznosicieli chorób, naziści uzasadniali zamykanie ich w gettach.

*

Zastanawiam się, kto mógłby mi wyjaśnić zmiany w sposobie postrzegania Polaków na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci w Norwegii. Przychodzi mi do głowy Nina Witoszek. Jest ona jedną z niewielu Polek, które biorą udział w norweskiej debacie publicznej. W 2005 roku otrzymała nagrodę Fundacji Wolne Słowo (Fritt Ord) za to, że „w sposób zdecydowany i świetnie sformułowany przekazuje Norwegom

wschodnioeuropejskie doświadczenia oraz kwestionuje norweskie szablony myślenia”.

Kiedy do niej dzwonię, ma już gotową chronologię: Najpierw Polacy byli w Norwegii „zbieraczami truskawek”, potem każdy Norweg dostał „własnego Polaka”, który naprawia kran i maluje dom. Potem nastął mroczniejszy okres, po części dlatego, że Polską zaczęli rządzić reakcyjniści (którzy – jak podkreśla Witoszek – w żadnym razie nie reprezentują punktu widzenia nas wszystkich), ale też z powodu pandemii, w czasie której Polaków uznano za roznościcieli wirusa.

Kiedy Nina przyjechała do Norwegii jako polityczna uchodźczyni w latach 80., bardzo zależało jej, by nie narzucono jej roli, której nie miała ochoty odgrywać. Nie pozwoliła patrzeć na siebie z góry, nie pozwoliła się upupić.

– Buntowałam się. Wiedziałam, jak dać prztyczka w nos. Odrobiłam lekcje z Gombrowicza. Traktowałam to jako swojego rodzaju zawody: upupiałam ludzi, zanim oni zdążyli mnie upupić.

No i zadziało, myślę sobie. Dzisiaj Witoszek jest badaczką na Uniwersytecie w Oslo, pisarką i zapaloną debatantką.

*

Justyna Marciniak, o której usłyszałam od przyjaciół ze związków zawodowych, zastanawia się, kim w norweskiej zbiorowej narracji są Polacy. Dzwonię do niej właściwie po to, by porozmawiać o trudnościach w pracy i na rynku mieszkaniowym, z którymi borykają się polscy robotnicy w Norwegii. Justyna pracuje w budowlance, a jednocześnie prowadzi badania sondażowe wśród polskich członków Związku Budowlańców.

Ale gdy tylko wyjaśniam, o czym piszę, Justyna zaczyna opowiadać, że szuka języka, by mówić o Polakach w Norwegii. Czy taki w ogóle istnieje? Jak uniknąć powielania klisz „ciężko pracujący, skromni, wydajni” albo medialnych nagonek w stylu „złodzieje i oszuści z fałszywymi paszportami covidowymi”?

Ja sama zastanawiam się nad tym, jak można pisać książkę o stereotypach i samemu nie wpaść w pułapkę ich powielania, czy to na temat Polaków, czy Norwegów.

Chcę zdjąć te etykiety, a nie dokładać im kleju. Czy mi się to uda?

5

Przez moje pierwsze dwa lata w Norwegii pracowałam w centrum opieki dla osób upośledzonych (letnia fucha) i jako asystentka wspaniałej kobiety na wózku (drugą jej asystentką była pani profesor z Południowej Afryki).

Uczyłam też hiszpańskiego przynajmniej w trzech różnych miejscach. W szkole językowej, gdzie pracowałam najwięcej, powiedziano mi, że zatrudniają tylko native speakerów.

– Gdyby pytali, powiedz, że twoja matka jest Hiszpanką – powiedziała mi na wstępie dyrektorka.

Nie był to żaden problem, wręcz przeciwnie, do twarzy mi było w tej nowej warstwie tożsamości. Dwie starsze panie, które uczyłam w tej szkole, chciały kontynuować naukę ze mną, ale już prywatnie. Słyszały, że mam matkę Hiszpankę, więc przed ich pierwszą wizytą u nas w domu dokleiłam na skrzynce pocztowej Pérez po Sapieżyńska. Dwa zmyślane nazwiska, jedno po drugim.

Pracowałam też jako nauczycielka portugalskiego i polskiego na Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

– Dlaczego chcecie uczyć się portugalskiego? – zapytałam uczniów na pierwszej lekcji. Okazało się, że połowa z nich ma domy w Portugalii, gdzie zwykle spędzają wakacje. Druga połowa natomiast miała dom w Brazylii.

Kiedy o to samo zapytałam chętnych do uczenia się polskiego, nie było mowy o żadnych podziałach, odpowiedź była jednogłówna:

– Mamy polskich pracowników i chcemy wiedzieć, o czym rozmawiają.

Moje zadanie nie było łatwe, bo większość uczniów nie słyszała różnicy między „dziewięć” a „dziesięć”. Ale nauczyłam ich na przykład śpiewać piosenkę „Ogórek” (co zielony ma garniturek). I to się podobało. Czy ogórek był (s)kwaszony? Kiszony w zalewie jak te polskie ogórki, za którymi tak tęskniłam?

Uczyłam też norweskiego dwie polskie au pair (obie miały wyższe wykształcenie i obie w trakcie tej „wymiany kulturowej”, by zacytować norweskie prawodawstwo, traktowano jak sprzątaczkę), jedną sprzątaczkę (która akurat nie była au pair) i trzech budowlańców. Jednemu z nich pomogłam rozszyfrować pismo z Urzędu ds. Cudzoziemców napisane w języku, którego dopiero zaczynał się uczyć, gdzie informowano go, że w ciągu kilku dni musi opuścić Norwegię. Urząd wysłał pismo, jak tylko zorientował się, że mężczyzna przebywał w Norwegii dłużej, niż pozwalała na to wiza. Chodziło o wizę wjazdową, którą dostał w latach 90., zanim Polska weszła do Unii. To wtedy pracował o kilka miesięcy za długo. On pewnie już dawno o tym zapomniał, ale nie Urząd ds. Cudzoziemców, urząd nie zapomina. Teraz, kiedy mieszkał w Norwegii od roku, znalazł mieszkanie i pracę, postanowiono odświeżyć mu pamięć. Decyzja urzędu oznaczała, że musiał spakować swoje obecne życie i plany na przyszłość. Pewnie żałował, że nakleił swoje nazwisko na skrzynce pocztowej.

Inna uczestniczka kursu była kompletnie przerażona po kontakcie z władzami. Kiedy czekała na metro w Oslo, podeszli do niej policjanci i poprosili o pokazanie paszportu. Nie miała go przy sobie, więc zabrali ją na komendę. Kiedy zapytała, jakie są powody zatrzymania, okazało się, że wzięto ją za ukraińską prostytutkę bez ważnego prawa pobytu. Przeraziło ją zobaczenie siebie w ich oczach, jej pewność siebie trzeba było sklejać na nowo.

*

W 2006 roku, po dwóch latach spędzonych w Norwegii, przeprowadziliśmy się do Wenezueli i wkrótce zaczęliśmy pracę jako doradcy w pałacu prezydenckim. Prezydent Hugo Chávez – pierwszy niebiały na tym stanowisku i pierwszy pochodzący z nizin społecznych, wdrażał programy socjalne, które miały redystrybuować ogromne dochody z ropy naftowej.

W małym biurze, gdzie za oknem tańczyły na wietrze palmy, oceniałam projekty rozwojowe, których finansowanie rozważała Wenezuela. Później uczestniczyłam też w analizach polityki zagranicznej dla prezydenta i ministra spraw zagranicznych.

W Wenezueli przyklejano mi zupełnie inne łatki niż w Norwegii. Tutaj byłam dobrze wykształconą Europejką, która mówiła w wielu językach. Byłam też „jedyną lewicową Polką”, jak ze mnie żartował Max – francusko-wenezuelski doradca Cháveza. W tym czasie rzeczywiście niewiele osób z mojego pokolenia parało się lewicową polityką. Dopiero w 2019 roku alians nowej lewicy, postkomunistów i zielonych zdołał pozbyć się PRL-owskiego piętna. Lewicowcy stali się wtedy trzecią siłą polityczną w polskim parlamencie.

Wielu Wenezuelczyków sugerowało, że reprezentuję „europejskie dziedzictwo kulturowe”. Zakładali, że nie jestem w ciemną bitą. Zdarzało się, że wyrażali też sympatię wobec losów Polski podczas II wojny światowej. Ponieważ nie jestem z Hiszpanii, nie byłam obarczana odpowiedzialnością za kolonialną historię Ameryki Łacińskiej. Ponieważ nie jestem ze Stanów Zjednoczonych, nie wiązano mnie z próbą zamachu stanu w Wenezueli w 2002 roku ani z wieloma innymi interwencjami USA w regionie. Ale to, że nie jestem ze Stanów, musiałam często najpierw wyjaśnić, a nie zawsze był na to czas. Pamiętam małego chłopca, który

zobaczył, jak wchodzimy na plażę, i od razu rozpoznał w nas cudzoziemców. Pognał więc do swoich rodziców, krzycząc:

– Tato, mamó, nadchodzą diabelscy gringos!

Pewnie słyszał w telewizji, jak Chávez ostrzegał przed gringos. Słowo odnosi się do zielonych mundurów żołnierzy z USA, których miejscowi chcieliby pożegnać: *green-go*.

Odżyłam w ekscytującej pracy, otoczona ludźmi z Kolumbii, Argentyny, USA, Hiszpanii, Brazylii, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, którzy tak jak ja przyjechali do Wenezueli zainteresowani politycznymi i społeczno-gospodarczymi przemianami w tym kraju. To było coś innego niż w Norwegii. Tutaj doceniano mnie za to, kim jestem, za moją wiedzę i umiejętności. W Norwegii często doświadczałam sytuacji, kiedy nikt niczego się po mnie nie spodziewał. Jakby ludzie wątpili, że jako „cudzoziemka” mogę wnieść wartościowy wkład. Życie bez piętna polskości, w rytmie salsy i reggeatonu, było wyzwalaające. Z drugiej strony wskaźniki przestępczości w Wenezueli były zastraszające, instytucje nie działały, jak powinny, a rynek pracy był niepewny. I tak dwa lata później wróciliśmy do Norwegii – do państwa opiekuńczego, bezpiecznych ulic i sprawnie funkcjonującej biurokracji.

*

Paweł, ten od larw, z którym Dariusz gra w ping-ponga, otwiera drzwi do swojego loftu w dzielnicy Tøyen i proponuje domowej roboty kombuczę. Na kuchennym stole widzę słoje fermentującej herbaty, a tuż obok – obiecaną farmę larw. Owady żyją w niewielkim, wielopoziomym pojemniku. Na wyższym poziomie starsze pokolenie, pod nimi jajka, a obok larwy zajadają się płatkami owsianymi i mikroskopijnymi kawałkami brokułu. Na samym dole mają toaletę.

– Larwy to pokarm przyszłości – wyjaśnia gospodarz. – Są bogate w białko, wymagają niewiele miejsca oraz minimalnej ilości pożywienia i wody. Sproszkowane larwy można też wykorzystać do produkcji wkładów do drukarek 3D. Paweł śmieje się, że czuje się trochę jak bóg, bo odpowiada za życie, śmierć i zasady etyczne w społeczności owadów. Jeśli w pojemniku spadnie poziom wilgotności – mieszkańcy zaczynają się nawzajem zjadać.

Paweł jest stolarzem i akrobatą, animatorem kultury i entuzjastą szachoboksu. Pani w banku tak się zainteresowała jego opowieścią o tej dyscyplinie sportu („cztery minuty szachów, dwie minuty boksu i tak przez jedenaście rund: idealne połączenie intelektualnego i fizycznego wyzwania, bijące rekordy popularności w Indiach, Rosji i wielu innych krajach”), że udzieliła mu kredytu hipotecznego znacznie wyższego, niż pozwalałyby na to jego zarobki. I w ten sposób Paweł kupił to, co dzisiaj nazywa dep.artment, miejsce, gdzie wykluwają się sztuka i nowe metody adaptacji do zmian klimatu.

Koncerty, wystawy, miejsce pracy dla artystów, warsztat, gdzie naprawić można zepsute sprzęty, a wkrótce znajdzie się też miejsce na uprawę boczniaków na fusach po kawie i warzyw podlewanych filtrowaną deszczówką. Na balkonie staną też ule, będą hydropanele na dachu, akwaria do produkcji żywności w kuchni, a także ceramiczna lodówka, która nie wymaga podłączenia do prądu.

„Samowystarczalność, dzielenie się i naprawianie rzeczy jest w sprzeczności z naszym systemem gospodarczym, bo zmniejsza PKB. A zatem pieprz się, PKB! Nie jesteś wskaźnikiem skrojonym na miarę tego świata, dla natury ani dla nas, organizmów tu żyjących” – czytamy w manifeście dep.artmentu.

Dopiero po jakimś czasie od zakupu mieszkania Paweł odkrył, że należało ono do jednego z prekursorów abstrakcyjnego ekspresjonizmu w norweskiej sztuce – Olego Sjølie. Artysta wprowadził się tu w latach 60. XX wieku i własnoręcznie wyremontował poddasze. Podczas remontu spał we wnętrzu, w namiocie. A wszystkie przedmioty pomalował na czarno i biało.

– Niewielu Norwegów słyszało o Sjøliem, więc ja, Polak, postawiłem sobie za cel, by zaopiekować się jego mieszkaniem i uczynić zeń projekt artystyczny – wyjaśnia Paweł, szeroko się uśmiechając.

Zanim cokolwiek przekształci w mieszkaniu, Paweł pracuje nad dokumentacją cyfrową wnętrza, dzięki której w przyszłości, po skończonym remoncie, będzie można zaprezentować oryginał jako rzeczywistość rozszerzoną, jako dodatkową warstwę cyfrową.

Paweł pochodzi z pogranicza polsko-niemiecko-czeskiego. Historyczne przesunięcia granic spowodowały, że losy mieszkańców tych terenów mieszą się, przeplatają ze sobą. Paweł lubi myśleć, że korzenie nie dostosowują się do wytyczonych obszarów granicznych. I wiele w tym racji: w wizji splątanych pod ziemią sieci korzeni – genealogii.

W rejonie, z którego pochodzi Paweł, w latach 90. upadła duża część przemysłu. Niektóre małe miasta niemal zniknęły wyludnione przez bezrobocie. Mieszkańcy znaleźli zatrudnienie w większych miastach albo wyemigrowali. Ojciec Pawła miał się w tym czasie różnych drobnych zajęć w Niemczech Zachodnich. Paweł już w szkole średniej zajmował się projektami kulturalnymi, a po jej skończeniu zaczął „wędrować przez świat”. Na Węgrzech otworzył nielegalny bar. Dzięki couchsurfingowi odwiedził północną Norwegię, serfował też na kanapach na Islandii i w Japonii. Chodził na szczudłach w słynnej norweskiej grupie teatralnej

Stella Polaris, która to swego czasu otwierała zimowe igrzyska w Lillehammer.

Do Oslo przyjechał pierwszy raz latem 2008 roku i na początku mieszkał w namiocie nad jeziorem Sognsvann, słynącym z tego, że w pierwszych latach po wejściu Polski do Unii rozbijali tam obozowiska liczni rodacy mający się fuch malarsko-stolarskich. On też malował i bejcował drewniane domy, przyuczył się do pracy w drewnie i w końcu zrobił uprawnienia cieśli.

Paweł jest jak wir.

Kiedy zakochał się w dziewczynie z Trondheim i ta zgodziła się na wspólną kawę, ruszył na umówione spotkanie piechotą. Szedł 26 dni, bo to jakieś 500 kilometrów z Oslo, ale został na kolejne cztery lata. W Trondheim założył grupę akrobatów, organizował koncerty jazzowe i zaaranżował miejsce, gdzie można było zostawić nadmiar jedzenia, by dzielić się z ludźmi w potrzebie. A wszystko to robił, zarabiając na życie w branży budowlanej.

W Trondheim mieszkał w kolektywie z Tudorem Lakatosem alias Elvisem Romano, gwiazdą Rock and Rom, i jego dwiema córkami Elvisą i Priscillą. Do dziś się przyjaźnią. Niedawno Paweł został zaproszony na pięćdziesiątkę swojego znajomego punka, zabrał ze sobą Elvisa Romano, a wykonane przez niego po romsku przeboje Elvisa Presleya były prezentem dla jubilata.

– Czułem się dyskryminowany jako Rom – opowiada Elvis Romano w programie BBC pod tytułem *Singing the King in the Roma Language*, który pokazuje mi Paweł. – Ale kiedy tylko brałem do ręki gitarę, mój status się zmieniał.

Paweł nie czuje się dyskryminowany. Czasem tylko szufladkowany.

Opowiada, że ktoś kiedyś zostawił na jego klatce schodowej resztki cementu, pewnie po remoncie któregoś mieszkania. Kiedy Paweł spotkał na schodach sąsiadkę, ta poprosiła go, by to posprzątał. Widocznie dostrzegła związek między cementem a jego narodowością.

Myślę, że ja odpowiedziałabym jej jak Katarzyna: „Nie jestem twoją sprzątaczką”.

Ale nie Paweł. On posprzątał bez gadania. Kilka tygodni później sąsiadka dowiedziała się, że to ktoś inny zostawił tamten bałagan, więc przysłała do Pawła i przeprosiła.

Wyobrażam sobie, że musiało jej być niezręcznie.

Chwilę później kosztuję smażonych larw. Bez uprzedzeń. Smakują jak ziarna słonecznika.

*

Katarzyna parkuje swój rower. Spotykam ją po przeczytaniu paru jej artykułów. Zajmuje się krytyką sztuki, nierzadko czerpiąc w swoich tekstach z własnej biografii. Píše też do norweskiej prasy, krytykując kreowany przez nią obraz Polaków.

Po reportażu, który tygodnik „Morgenbladet” anonsował w swoim newsletterze słowami: „Na pewno widziałeś polskich migrantów zarobkowych, ale być może nigdy nie zastanawiałeś się nad nimi. Montują twoją kuchnię, myją twoje biurko, budują norweskie miasta”, Katarzyna napisała: „W naszej złożonej współczesności wypada zadać sobie szczerze pytanie: Jeśli piszę o mniejszości, to z jakiej pozycji występuję? Jaki mam w moim codziennym życiu kontakt z tą grupą? Jeśli znam tylko Polaków, którzy montują mi kuchnię, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że jest to największa mniejszość w moim kraju, może fakt ten mówi coś więcej?”. Katarzyna skrytykowała również zdjęcia zamieszczone w reportażu, które

jej zdaniem w sposób tendencyjny pogłębiały podział na „nas i ich”. „Zdjęcia krzyczą o nas, Polakach, że: nie mamy dobrego gustu, jesteśmy biedni, jesteśmy obcy, nie można się z nami utożsamiać”, napisała.

Idziemy wzdłuż morza, a Katarzyna tak dobrze opowiada, wystarczy jej kilka słów, by naszkicować cały obraz. Mówi, że zaczęła pracować w wieku szesnastu lat. Każdego lata jechała autokarem do Wielkiej Brytanii, by tam tyrać na kilka zmian. Rano sprzątała pokoje hotelowe, w ciągu dnia obsługiwała stoliki w restauracji, a wieczorami dorabiała w galerii. W ten sposób pokryła koszty swoich studiów z doktoratem włącznie. W Polsce nie ma kasy pożyczkowej dla studentów, która w Norwegii jest podstawą.

W letnim słońcu Oslo Katarzyna opowiada mi o tych podróżach autokarami do Wielkiej Brytanii. Wszyscy polscy pasażerowie musieli pokazać bilet powrotny, wystarczającą ilość gotówki albo numer telefonu do kogoś z brytyjskim adresem, kto zapewni im wyżywienie.

Było to jeszcze przed wejściem Polski do Unii Europejskiej, kiedy Polacy nie mogli legalnie pracować na Wyspach Brytyjskich. Różnice w poziomie płac w obu krajach były gigantyczne. Pasażerowie autokarów udawali turystów, a straż graniczna udawała, że im wierzy.

Po nocy spędzonej w trasie kobiety tłoczyły się w toaletach, by zamalować niewyspanie i trochę lepiej się prezentować przy kontroli granicznej. Strażnicy z reguły wybierali cztery osoby z każdego autokaru, których nie wpuszczali do kraju – dla celów statystycznych – jak powiedziano Katarzynie. To właśnie tych czworo miało rzekomo zamiar pracować nielegalnie, a reszta przyjeżdżała zwiedzać. I tak się bawiono, raporty się zgadzały, a wszyscy i tak wiedzieli, że brytyjska gospodarka nie dałaby rady bez tych pracowników w przebraniu turystów.

Polska roku pańskiego 2019 to było dla Katarzyny za dużo. PiS w szalonym tempie demontował system sądownictwa, ograniczał wolność mediów i próbował drastycznie zaostrzyć prawo aborcyjne. Na ulicach wszystkich miast wrzało.

Jesienią 2020 roku, wykorzystując pandemię i zakaz zgromadzeń, partii rządzącej udało się przeforsować zakaz aborcji w przypadku „ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu” (wyjątek stanowiący do tej pory podstawę 98 procent legalnych zabiegów), co spowodowało kolejne masowe protesty, już nie tylko w Polsce, ale też w Londynie, Berlinie, Kopenhadze, Sztokholmie i Oslo. Przed Ambasadą RP w Oslo staliśmy w zimnym deszczu, ale było nas dużo i robiliśmy sporo hałasu. Kierowcy zatrzymywali się i trąbili na znak solidarności. A gdy norweska przedstawicielka Frontu Kobiet weszła na scenę i powiedziała, że już szósty raz protestuje przed tą ambasadą przeciwko gwałceniu praw jej siostr w Polsce, rozplakałam się.

– Dziękuję bardzo – wyszeptałam.

W Polsce wszyscy przyjaciele Katarzyny byli przeciwko rządowi, a mimo to podzielili się na dwie grupy. Ci z pierwszej chodzili na wszystkie demonstracje, wykorzystywali cały swój wolny czas na protesty. Drudzy po jakimś czasie wrócili do swoich rodzin i obowiązków. Skończyło się na tym, że pierwsza grupa oskarżała drugą o bierność, atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. I wtedy Katarzyna dostała mail od przyjaciółki z Norwegii z pytaniem, czy nie zaopiekowałyby się przez jakiś czas jej mieszkaniem i kotem. Brzmiało to jak mentalne wakacje i rezydencja literacka w jednym. Katarzyna spakowała walizkę i wsiadła w samolot.

– Krytyczka sztuki i kuratorka to nie jest żaden zawód – usłyszała przy próbie zarejestrowania pobytu i wyrobienia norweskiego numeru

identyfikacyjnego.

Przez kilka miesięcy zarabiała miesięcznie tylko pięć tysięcy koron (około 2,5 tysiąca złotych). Przeżyła dzięki warzywom z tańszych sklepów w emigranckiej dzielnicy Oslo Grønland. Aż w końcu pojawiło się duże zlecenie – ku uciechu jej samej i Urzędu ds. Cudzoziemców.

– Jak to dobrze, że ty możesz być kuratorką w Norwegii – usłyszała od norweskiego fotografa, który uważał, że to niezwykła praca dla *polakka*.

*

Podczas rozmowy z Katarzyną dowiaduję się też, że niełatwo jest być w Norwegii singielką z Polski. To, co mówi, przypomina mi tinderowe opowieści akrobata Pawła i mojego brata. Mój brat – przystojniak, który studiował w Kopenhadze – nigdy nie doczekał się *matcha* na duńskim Tinderze. Jego polskość była hamulcem każdej potencjalnej relacji. Tinder Pawła uaktywnia się w Japonii, gdzie zahacza o kategorię „egzotycznych”. W Norwegii jego profil jest martwy.

Katarzyna:

– Ludzie oczekują, że masz dobrze płatną pracę i że mieszkanie, w którym mieszkasz, jest twoje, a nie wynajęte. Słowem: że jesteś bogata. Ale ja nie mam żadnych szans na norweskim rynku mieszkaniowym. Ktoś mi kiedyś mi powiedział, że jestem przedstawicielką prekariatu, a kto by to chciał.

Bieda nie jest sexy.

Profil Katarzyny na Tinderze jest po angielsku, by nie wykluczać osób niemówiących po norwesku. Tutaj też nosi imię Kate i nigdzie nie jest napisane, skąd pochodzi, by nie psuć wszystkiego już na starcie. Zamiast tego można się dowiedzieć, że mówi po angielsku, norwesku, francusku, czyta „Klassekampen” i „Morgenbladet”.

I potem pisze z gościem na czacie o artykule w najnowszym „Morgenbladet”, gdzie sporo się pisze o literaturze i sztuce.

– To dobry znak, jeśli tamten od razu nie pyta, skąd jestem. Idę wtedy na pierwszą randkę po prostu jako człowiek – mówi.

Ale z reguły to pytanie pada już na czacie. A odpowiedź jest jak wyciągnięcie wtyczki z kontaktu. Cały czar pryska. Facet po prostu nagle znika, przestaje się odzywać. Głupio byłoby mu powiedzieć coś pokazującego sceptycyzm wobec imigrantów po całej tej gadce o kulturze. Są też tacy, którzy przełączają się na tryb: „Sorry, nie wiedziałem, pozostaje mi się tylko pożegnać. Bez urazy, ale wschodnioeuropejskie kobiety są strasznie dziwne. Powodzenia tutaj i w poszukiwaniu pracy”.

– *Good night, and good luck!*

Czekaj, czekaj. Jakim poszukiwaniu pracy?

*

Czy Norwegia to społeczeństwo bezklasowe? Kto w tym kraju wykonuje tak zwaną brudną robotę: pracuje w najniżej płatnych, wykańczających fizycznie zawodach jak na przykład sprzątanie hoteli? Kto zajmuje się seniorami i chorymi? Kto przywozi ci jedzenie pod drzwi?

Kto zarabia najmniej? Jak to się dzieje, że dzieci emigrantów stanowią w Norwegii ponad połowę wszystkich dzieci w rodzinach z utrzymującymi się niskimi dochodami?[25].

Czy łatwo jest znaleźć pracę, która odpowiada twojemu wykształceniu, jeśli nie urodziłeś się i nie wychowałeś w Norwegii? A nawet jeśli, ale twoje nazwisko w CV zdradza, skąd „tak naprawdę” (nie) pochodzisz?

W jakim stosunku pozostają kategorie narodowość i klasa we współczesnej Norwegii? Co się dzieje ze społeczeństwem, gdy mniejszości etniczne dominują w nisko płatnych zawodach? Albo kiedy pochodzeniu

lub kolorowi skóry przypisuje się konkretne cechy czy też konkretne zawody, do których dana osoba „się nadaje”?

Pamiętam zasłyszaną na pierwszomajowym wiecu historię o norweskim sprzątaczu, który ciągle był brany za Polaka. W końcu nauczył się więc kilku polskich fraz, by odpowiadać na pytania.

Wydało mu się to o wiele prostsze niż nieustanne zaprzeczanie.

*

Rozmawiam z Dominiką, która przez trzy lata w Trondheim „rozwijała swoją karierę jako personel sprzątający”. Próbuje to powiedzieć z uśmiechem, ale widzę, że w kąciku oka zbiera jej się łza. Po latach studiów i doświadczenia zawodowego w Polsce spodziewała się czegoś innego, ale starannie sformułowane listy motywacyjne pozostawały bez odpowiedzi, miesiące nieustannych prób przeszły w lata.

Dominika ma dwie magisterki: z projektowania mody i historii sztuki. Mówi biegle po norwesku. Obecnie pracuje jako asystentka osoby na wózku i nie narzeka. Ale marzy, by znowu zająć się projektowaniem mody jak wcześniej w Polsce. Tylko w Norwegii jeszcze nie dostała takiej szansy. Próbowała, ale nie wyszło.

Polki w Norwegii pracują najczęściej jako sprzątaczkki. Badania z 2010 roku pokazują, że w Oslo prawie 60 procent z nich wykonywało ten zawód, przy czym przed emigracją tylko 1 procent z nich pracował na podobnym stanowisku[26].

47 procent Polek w Norwegii ma wyższe wykształcenie. Średnia wśród Norweżek to 45 procent.

Wyobrażam sobie długi rząd polskich kobiet, które siedzą przy nieskończone długim stole i składają origami z dyplomów i świadectw pracy wydanych w ojczyźnie[27].

W języku naukowym brzmi to tak: „Hierarchiczne pozycjonowanie narodowości kształtuje poziom (nie)chęci do migrantów zgodnie z ich pochodzeniem narodowym”[28].

Chłodno i precyzyjnie.

A za tą akademicką precyzją kryje się wiele ludzkich dramatów. Komедii, tragedii, tragikomedii.

Naukownicze Kristin Loftsdóttir i Guðbjört Guðjónsdóttir porównały dwa przypadki: islandzkiego migranta w Norwegii oraz migranta z Polski i Litwy na Islandii. Islandczyk był w norweskim społeczeństwie „pożądanym” przyjezdny. W czasie kryzysu gospodarczego w 2008 roku norweskie media i komentatorzy witali Islandczyków jako „braci wracających do domu”[29], przywołując historię norweskiej migracji na Islandię ponad tysiąc lat temu. Polakowi i Litwinowi na Islandii natomiast od razu przyklejono łatkę „pieprzonych cudzoziemców”[30]. W swoich wnioskach badawczych Islandki nazywają to wprost – rasizmem oraz dyskryminacją ze względu na klasę.

W innym wieloletnim projekcie naukowym badacze Jon H. Friberg i Arnfinn H. Midtbøen rozmawiali z norweskimi pracodawcami z branży rybnej i hotelowej[31]. Okazało się, że narodowość była dla pracodawców synonimem umiejętności. I tak Polacy i Litwini w oczach norweskich pracodawców „najlepiej się nadają” do pracy fizycznej. Ciężko pracują, rzadko idą na zwolnienia lekarskie. Pracodawcy nazywają to „wysokim morale w pracy”, ale naukowcy zwracają uwagę, że pracodawcy pojęcia tego używają w znaczeniu „podatność na wyzysk”. Z punktu widzenia pracodawcy to atut, że jego pracownicy nie mogą domagać się swoich praw.

Pracodawcy, z którymi przeprowadzono rozmowy, uważają, że Polacy i Litwini nie nadają się do bezpośrednich kontaktów z klientem ani tym

bardziej do pełnienia funkcji reprezentacyjnych, komunikacji czy do podejmowania niezależnych decyzji.

„Wschodni Europejczycy bardzo ciężko pracują, ale nie mają nastawienia na klienta. Pracują po czternaście godzin na dobę, nie potrzebują ani się uśmiechać, ani myśleć. Wiesz, są jak konie”, mówi badaczom jeden z pracodawców[32].

*

W sezonie firmowych imprez przedświątecznych Kamila (malarka, która nie maluje domów) jeździ rikszą po głównym deptaku Oslo. Riksza jest ciężka, nawet dla Kamili, która dużo trenuje i jest w świetnej formie. A kiedy pasażer jest wielkim facetem to już w ogóle. Któregoś wieczora jeden potężnych rozmiarów gość zamawia kurs aż do Bygdøy, pięć kilometrów od centrum. Kamila zazwyczaj nie jeździ tak daleko, ale tu ma nadzieję na dobry napiwek od kogoś, kto mieszka w jednej z najbogatszych dzielnic miasta. Kiedy dojeżdżają na miejsce, pasażer nie płaci – ucieka, głośno się śmiejąc.

„Są jak konie”, dzwoni mi w uszach.

*

Rozmawiam z Anną Przybyszewską, która do swojej rozprawy doktorskiej na uniwersytecie Nord (w północnym okręgu Nordland) przeprowadziła dziesiątki wywiadów z Polakami pracującymi w Norwegii na stanowiskach znacznie poniżej swoich kwalifikacji.

– Jestem socjolożką, nie psycholożką, więc głównie skupiałam się na zagadnieniach związanych ze społecznym pozycjonowaniem, tożsamością, stygmatyzacją i urasowaniem – wyjaśnia w rozmowie telefonicznej na linii Oslo–Bodø. – Ale kiedy rozmawiałam z osobami, które od dłuższego czasu

pracują za marne stawki, nie mogąc wykorzystać swoich kompetencji, z osobami, które miały nadzieję, że po pewnym czasie znajdą inną, lepszą pracę, ale im się to nie udało, nie mogłam zignorować tematu, który przewijał się w każdym wywiadzie. A było nim zdrowie psychiczne. Dlatego dużą część mojej pracy dyplomowej poświęciłam na wyjaśnienie, jak ta sytuacja wpływa na ich psychikę i że powoduje cierpienie oraz inne dolegliwości natury psychicznej.

W rozprawie doktorskiej Przybyszewskiej czytam o ludziach, którzy po pracy mają już tylko siłę wrócić do domu i położyć się spać. Nie mają siły na prysznic, mają za to nadzieję, że w pewnym momencie po prostu znikną. Nie wstają z łóżka, jeśli nie muszą. Czytam o ludziach, którzy fantazjują na temat własnej śmierci w wypadku samochodowym. I o Beacie z doktoratem, której urząd pracy zaoferował pracę sprzątaczką. „Zastanawiam się, ilu Norwegom z doktoratem oferuje się takie zajęcie”, mówi cytowana w opracowaniu.

Zastanawiam się, czy w historii Beaty chodzi o błąd ludzki, czy może raczej o temat, który umknął mediom. Ale szybko zdaję sobie sprawę, że nie jest to jednostkowy przypadek. Podczas pracy nad tą książką spotykam wiele kobiet z wykształceniem uniwersyteckim, którym doradcy w urzędzie dla bezrobotnych zalecali lub doradzali podjęcie pracy sprzątaczką. Niezależnie od kierunku studiów, niezależnie od doświadczenia zawodowego, zainteresowań, ambicji czy poziomu znajomości norweskiego i innych języków.

Jedną z tych kobiet jest Żaneta – projektantka i kuratorka. Kiedy odwiedziła urząd pracy z konkretnym pomysłem praktyki w sektorze kultury, urzędnik zasugerował, by spróbowała bardziej w sprzątaniu lub usługach, ale „szczerze mówiąc, najlepiej, gdyby wróciła do Polski”. Dziś Żaneta jest główną organizatorką dorocznego festiwalu We Do w Oslo,

gdzie dzięki warsztatom i koncertom można doświadczać polskiej sztuki współczesnej. Żaneta uczestniczy też w projekcie teatralnym, w którym Polacy w Norwegii opowiadają swoje historie.

– Te opowieści się z nich wylewają – mówi Żaneta. – Mają ogromną potrzebę, by ktoś ich usłyszał, zobaczył.

W międzyczasie Żaneta zorganizowała też wystawę pod tytułem *Roepolakkerne*, czyli buraczani Polacy (albo podążając tropem słów złożonych – *burakker*) – o pierwszej fali Polek, które przyjechały do Danii w 1893 roku do pracy na polach buraków[33]. Z tej okazji zaprojektowała damskie ubrania robocze inspirowane tamtą epoką. Stroje miały bardzo długie etykiety. Tak długie, że czytający musieli się schylać, kłaniać się etykietom, z których każda opowiadała prawdziwą historię polskiej współczesnej migrantki. Ich historie były tak ciężkie jak ubrania, ale kobiety chciały je opowiedzieć, by się oczyścić i by złe doświadczenia przekuć w zmianę na lepsze.

Tak sobie myślę: może próbuję zrobić to samo tą książką?

W pubie spotykam Olę – basistkę z piercingiem i o zielonych włosach. Otoczone przez spragnionych piwa mieszkańców Oslo ogrzewamy dłonie na kubkach z herbatą. Zanim Olga przyjechała do Norwegii, pracowała na farmie w Irlandii. Dla warszawianki – niespotykane doświadczenie.

– Jak jedziesz do innego kraju zbierać truskawki, zostawiasz swoją tożsamość w domu – Olga pokazuje w uśmiechu wszystkie zęby. – Nikogo nie interesuje twoja historia.

Później, już w Norwegii, Olga usłyszała, że „powinna raczej wrócić do Polski niż szukać pracy tutaj”, ale to jej nie zniechęciło. Dziś robi muzykę, pracuje w radiu i w centrum kryzysowym dla ofiar przemocy. Tam jej szefowa zwykła mawiać, że Olga ma rękę do ludzi, jest kreatywna i doskonała w logistyce, słowem, że „jest ziemniakiem”, co po norwesku

może oznaczać bycie wszechstronnym. Bo w norweskiej kuchni, tak jak i w polskiej, ziemniaki przydadzą się do wszystkiego.

Uff, Kolumb wreszcie oddycha w ulgą.

*

Asia też jest jak ziemniak. Istny człowiek orkiestra. Jest inżynierką budownictwa, ale studiowała również edukację artystyczną. Siedzimy w kawiarni, Asia opowiada donośnym głosem, ignorujemy rzucane nam z innych stolików spojrzenia.

Jest rok 2008. Przyjaciółka Asi studiuje w Oslo. Asia ją odwiedza i zostaje. Cała Europa pogrąża się w kryzysie, w Polsce branża budowlana jest w zapaści, nie ma pracy, nie ma nic do stracenia. Najpierw Asia mieszka u przyjaciół, potem na squacie. Dostaje pracę w sklepie spożywczym, gdzie każdy dzień zaczyna się o piątej rano od mycia podłóg i układania towaru na półkach. Po miesiącu ciężkiej pracy nie dostaje jednak wypłaty, bo szef sklepu twierdzi, że nie będzie płacił za jej „okres próbny”. Asia przyprowadza norweskiego znajomego na rozmowę z szefem, ale przecież nie ma podpisanej umowy ani pozwolenia na pracę, więc sprawa jest przegrana już na wstępie.

Idzie więc na zmywak. I tym razem na czarno (sytuacji nie wybiela nawet piana z płynu do naczyń), ale przynajmniej dostaje wypłatę.

Jej przyjaciele artyści przyjeżdżają do Norwegii, robią zdjęcia, chodzą na wystawy, wernisaże i przyjęcia, piją, palą, po czym Asia znowu wraca na zmywak. Światowej sławy artystka Marina Abramović ma występ w parku Ekeberg w Oslo, Asia nie ma biletu i nie chcą jej wpuścić. Interweniuje sama Abramović, bierze Asię pod rękę, potem spędzają razem wiele dni. Dzięki swoim rudym, geometrycznie obcięтым włosom Asia promieniuje osobliwym blaskiem.

Po jakimś czasie dostaje maila z informacją, że zakwalifikowała się jako wolontariuszka do pracy z dziećmi w brazylijskim stanie Paraná. Nawet nie może sobie przypomnieć, kiedy aplikowała o ten wolontariat, ale wszystkie koleżanki odwracają się od zlewu i chórem mówią, że musi jechać. Więc jedzie. Sześć miesięcy, trzynaście indiańskich wiosek. Dzieci nie mówią po portugalsku, więc nie ma znaczenia, że Asia też nie zna tego języka (mimo że obiecała się go nauczyć przed wyjazdem). Gesty wystarczają. I śmiech. Robią razem instrumenty muzyczne z butelek i dzieła sztuki z rolek po papierze toaletowym.

Po powrocie Asia bierze oddech w Polsce, organizuje z przyjaciółmi kilka koncertów punkowych i z muzyką elektro, a potem znowu Oslo: zmywak i obsługa szatni w restauracji, co jest zdecydowanie lepsze dla skóry i pleców.

W którymś momencie Asia zostaje asystentką starszej chorej kobiety na wózku, która chce się dobrze bawić, póki jeszcze może. Ochrzczona przez nią Fiona, Asia robi zakupy i przygotowuje przyjęcia dla gości albo pcha wózek z kobietą na kolacje w restauracjach. Pędzą przez zasy, śnieg pada, kobieta krzyczy:

– Fiona, ty jesteś szalona!

Prawda, Asia jest trochę szalona.

Stan kobiety się pogarsza i musi się przenieść do domu opieki, więc Asia-Fiona zaczyna sprzątać na placu budowy, tym razem w kobiecej brygadzie złożonej z: dentystki z Iraku, fizjoterapeutki z Litwy i księgowej z Polski. Myślały, że ze swoimi umiejętnościami i wiedzą będą mogły przysłużyć się norweskiemu społeczeństwu również w inny sposób, ale na razie „szorują baraki śmierdzące potem, fajkami i gównem”, wyrzuca z siebie Asia w tempie karabinu maszynowego. Ponieważ tylko ona potrafi

czytać rysunki techniczne i zaznaczać na nich posprzątane strefy, zostaje szefową brygady.

Niedługo potem awansuje do pracy za biurkiem w norweskiej agencji pośrednictwa pracy. Jej zadaniem jest utworzenie bazy CV wschodnioeuropejskich robotników (z naciskiem na „z Polski”), przeprowadzanie z nimi rozmów o pracę i przydzielanie zadań. Tylko ona mówi tam po polsku i rosyjsku. W teorii pracuje od ósmej do szesnastej i za tyle czasu jej płacą. Ale w praktyce musi być w pracy na szóstą, bo pracownicy zaczynają o siódmej, a ona musi im wydać ubrania robocze z logo agencji. Od szesnastej do średnio dwudziestej trzeciej odpowiada na wszelkiego rodzaju pytania i zmartwienia polskich robotników. Jej telefon nie przestaje dzwonić. W jej głowie dzwoni ze zmęczenia.

– Rzuć tę robotę – radzi jej chłopak.

– Rzucam tę robotę – mówi w biurze Asia, okres próbny niedługo się kończy.

Nikt jej nie wierzy.

– Przecież to wymarzona praca dla Polki – słyszy od norweskich kolegów z pracy.

– OK, jeśli miałabym zostać, chcę zarabiać tyle co Hege – próbuje Asia podczas rozmowy z szefostwem. Obie mają to samo stanowisko i zakres obowiązków.

– I dokładnie tyle zarabiasz – pada odpowiedź.

Nie według dokumentów, które Asia znajduje w drukarce. Hege dostaje mianowicie szereg dodatków, dzięki którym zarabia dwa razy więcej niż Asia.

Raport centrum badań Fafo opublikowany w 2021 roku pokazuje, że prawie czterech na dziesięciu Polaków mieszkających w Norwegii i zatrudnionych w branży budowlanej jest przekonanych, że zarabia mniej

niż ich norwescy koledzy^[34]. Dzwonię do doradcy Norweskiej Konfederacji Związków Zawodowych LO, Jonasa Balsa, który przez lata był mężem zaufania pracowników budowlanych, i proszę o komentarz do raportu. Jonas zastanawia się przez chwilę, po czym przyznaje:

– Nie mówiliśmy do tej pory wystarczająco głośno o masowej dyskryminacji pracowników ze względu na narodowość i język.

Bals potwierdza, że Polacy często zarabiają mniej niż ich norwescy koledzy. Zna wiele przypadków, kiedy zarówno pracodawcy, jak i agencje pośrednictwa stosują niezliczone sztuczki, by „oszczędzić” na pracownikach, którzy nie należą do związków zawodowych i nie potrafią się poruszać w meandrach skomplikowanego prawodawstwa.

– Próżnię powstałą na skutek braku zorganizowanych pracowników wypełnia zorganizowana przestępczość – mówi Bals. Na koniec ostrzega, że w agencjach pośrednictwa panują „rządy terroru”, które polegają na prostej zasadzie: jeśli pracownik się poskarży, nie dostanie nowego zlecenia^[35].

Ostatniego dnia przed końcem okresu próbnego do Asi przychodzi jeden z szefów i oferuje kontrakt na 60 procent.

– Niestety, nie stać nas na pełen etat dla ciebie – mówi, uśmiechając się przepraszająco, na co Asia również odpowiada uśmiechem i retorycznym pytaniem, czy on też zarabia tak fatalnie jak ona.

Koniec pracy w biurze to ulga, jednak przez wiele tygodni nieustannie dzwoni telefon z biura, gdzie nikt nie może sobie poradzić bez Asi i jej umiejętności językowych. Asia w końcu prosi, by przestali dzwonić, w przeciwnym razie zawiadomi policję o nękanii. Telefon się uspokaja. A razem z nim życie.

Niedługo potem Asia zaczyna pracę w międzynarodowej grupie montującej sceny w Oslo. Atmosfera jest świetna, choć zarobki

pozostawiają wiele do życzenia. Któregoś dnia, spiesząc się, ktoś zapomina zabezpieczyć stelaż, po którym Asia się wspina. Taszczy ze sobą sporą szynę. Nagle spada, a szyna spada na nią. Musi natychmiast jechać do lekarza, ramię i dłoń bolą potwornie.

– Wy, Polacy, lubicie sobie ponarzekać, że boli, prawda? – To komentarz lekarza.

Teraz, kiedy siedzimy w kawiarni, od wypadku minęły dwa lata, ale ręka Asi nadal nie jest sprawna. Operowany nadgarstek wciąż wymaga żmudnej rehabilitacji. Ten czas Asia wykorzystuje na robienie muzyki, naukę obsługi kamery filmowej i na organizowanie wydarzeń w Oslo, na które zaprasza polskich muzyków i pisarzy. Organizuje też demonstracje. Na tamtej przed ambasadą, podczas której wylałam fontannę łez, była didżejka.

Asia jest trochę szalona.

Gdyby nie praca nad tą książką, być może nigdy byśmy się nie poznały. Szkoda by było.

A teraz kawiarnia opustoszała. Zamykają, musimy wyjść. Kiedy idziemy chodnikiem, Asia daje mi posłuchać z telefonu swojego nowego rapowego kawałka:

„Nie jestem z Berlina. To nie moja wina”.

Być z Berlina byłoby zbyt łatwo, dostawać na wstępie etykietkę „cool”.

*

Asia biegnie do metra, ja wracam autobusem. W drodze z przystanku do domu mijam trzy zielone skrzynki pocztowe z dwunastoma polskimi nazwiskami. Nie pierwszy raz przyglądam się drewnianym domom za podjazdem dla samochodów.

Myślałam już o tym. Ale nie, raczej nie śmiem.

Czuję jednak, jak ta myśl we mnie kiełkuje.

6

Odważam się w następną niedzielę.

Wchodzę do ogrodu. Mijam przysypaną liśćmi starą trampolinę. Cztery zaparkowane samochody między dwoma drewnianymi domami. Słyszałam, że planują je niedługo zburzyć. Jest ciepło jak na wrzesień. Drzwi do pierwszego domu są otwarte. Przez okno widzę postać leżącą na kanapie. Pukam w otwarte drzwi. Pewnie za cicho. Więc wołam „Dzień dobry!”, staram się brzmieć przyjaźnie.

Wstyd mi tak stać przed domem obcych ludzi i pukać do drzwi. I wstyd mi, że czuję przepaść klasową, z której właśnie zdałam sobie sprawę. Czy nie za bardzo się wystroiłam?

Cisza. Próbuję raz jeszcze:

– Dzień dobry!

Na korytarz wychodzi mężczyzna, potem jeszcze jeden. Uśmiecham się i przedstawiam. Wyjaśniam, że mieszkam w okolicy. Witają uściskiem dłoni: Piotrek i Dominik. Biorę głęboki oddech i mówię, że piszę książkę o Polakach w Norwegii i zastanawiam się, czy moglibyśmy pogadać.

– Zamierzam ją zatytułować *Dlaczego wszyscy Polacy mają okrągłe twarze?* – dodaję z nadzieją, że ich to rozbawi.

– No to ja się świetnie nadaję do tej książki! – Piotrek klepie się w oba policzki.

Jest łysy i rzeczywiście dość okrągły na twarzy. Wybuchamy śmiechem. Co za ulga. Uśmiechowi Dominika brakuje kilku zębów, jego twarz jest wąska i pociągła.

Zapraszają mnie do środka, proponują kawę. Zdejmuję buty i dostaję w przydziale kapcie Władka, którego nie ma w domu, a który – zdaniem gospodarzy – ma najmniejsze stopy. W Polsce kapcie to podstawa. Chronią przed zimnem taniej i bardziej ekologicznie niż popularne w Norwegii ogrzewanie podłogowe. Kapcie to synonim gościnności. Wysyłają jasny sygnał: Czuj się jak w domu.

Kiedy już siedzimy przy kuchennym stole, pytają, co chcę powiedzieć tą moją książką.

– Chcę powiedzieć, że nie wszyscy Polacy są tacy sami, że jest wśród nas duża różnorodność. Że jest nas w Norwegii bardzo wielu, ale rzadko kiedy dochodzimy do głosu. Że często doświadczamy tego, że traktuje się nas gorzej albo patrzy na nas z góry.

Chłopakom podoba się to, co słyszą.

Piotrek jest malarzem. Dominik betoniarem. Nie ma jeszcze czterdziestki, ale jego ciało nosi znamiona ciężkiej harówki. Marzy o zmianie: malowanie, szpachlowanie, byleby było lżej.

Badania z 2017 roku pokazują, że Polacy są nadreprezentowani w pracy fizycznej w Norwegii. 36 procent pracuje fizycznie, podczas gdy średnia dla całej populacji to zaledwie 9 procent[36]. I podczas gdy poziom wykształcenia Polek w Norwegii niewiele się różni od poziomu edukacji Norweżek, tak w stosunku do średniej mniej mężczyzn urodzonych w Polsce ma wyższe wykształcenie.

Mimo wielu lat spędzonych w Norwegii ani Piotrek, ani Dominik nie mówią po norwesku. Nie byli na kursie języka, znają zaledwie kilka słów.

– Tylko praca, praca, praca, a w weekend czasem się napijemy – głośno się śmieją. – Zmiana dobrze nam robi.

Wszyscy, z którymi pracują (nie wyłączając pracowników agencji pośrednictwa pracy), mówią po polsku.

Piotrek puszcza muzykę, koncert *Unplugged* Nirvany. Zaskakuje mnie, że słuchają tej samej muzyki co ja, ale chwilę później to mnie odpręża. Kiedy prawie już kończę herbatę (którą wybrałam zamiast kawy, widząc, jaki mają duży wybór), do kuchni wchodzi Władek z butelką wódki. Nie chce nawet słyszeć o oddawaniu kapci. Kto to widział, żeby gość siedział boso. Za Władkiem do kuchni schodzą się inni mieszkańcy, wszystkim Piotrek mówi, że piszę książkę. Świeżo umyte kieliszki zostają rozdane wśród zgromadzonych. Anita, jedyna kobieta w domu, otwiera sobie piwo. Po pierwszym toaście („Na zdrowie!”) domownicy niemal zaczynają się przekrzykiwać.

Michał:

– Dam ci jedną dobrą radę do tej twojej książki. Niech będzie krótka!

Anita:

– Jak usłyszałam, że pukasz, pomyślałam, że to ktoś z inspekcji pracy.

Wszyscy się śmieją. Anitę inspekcja pracy złapała na Islandii, kiedy pracowała na czarno w budce z jedzeniem. Straciła posadę, ale pozwolono jej zostać na wyspie w roli turystki. Islandczycy są w porządku, podsumowuje Anita. A po chwili naciska na Dominika, żeby opowiedział, jak był w pracy mobbowany przez kilku kolegów. I o tym, jak mu pośrednik nie wypłacił chorobowego.

– Co myślicie o agencjach pośrednictwa? – pytam i jednocześnie obawiam się, czy to stosowne pytanie, skoro dostają od tych pośredników wypłaty.

Ale kuchnia jest zgodna:

– Niech zamkną całe to gówno! Nasza sytuacja byłaby zupełnie inna, gdybyśmy pracowali dla norweskich firm.

Na zdrowie!

Władek jako jedyny w domu sympatyzuje z polityką PiS. Jego zdaniem tylko ich obchodzi nasza historia i nasza godność. On sam jest kierowcą tira. Jego norwescy koledzy dostają na start 250 koron za godzinę, ale on musiał wiele lat przepracować, by osiągnąć ten pułap. Jego zdaniem to właśnie pokazuje, że nie szanuje się w Norwegii polskich pracowników.

– I to powinno się zmienić – wyrzuca na kolejnym wydechu. – Bo w tym kraju nie znajdziesz placu budowy, na którym nie ma Polaków. Bez nas ten kraj by się zatrzymał.

Pandemia jasno pokazała, jak bardzo Norwegia jest zależna od imigrantów zarobkowych[37]. Uwidoczniała też, że prestiż twojego zawodu i twój poziom pensji mają niewielki związek z tym, jak potrzebna społeczeństwu jest twoja praca. Nad kolejnym kieliszkiem wódki myślę o wszystkich imigrantach, którzy budują i karmią Norwegię i utrzymują ją w czystości, a których często wynagradza się poniżej standardów i wielu uważa to za sprawiedliwe, „bo przecież wrócą w końcu do swoich krajów, gdzie ceny są o wiele niższe”. Myślę o tureckich *gastarbeiterach*, którzy pracując po dwie zmiany i bez narzekania, zrobili z Niemiec przemysłowego giganta. Myślę o ojcu mojego niemiecko-tureckiego przyjaciela, który całe zawodowe życie oszczędzał, by wrócić do słońca i drzew granatu, ale skończył pochowany w niemieckiej ziemi. Myślę o Białorusinach, którzy zbierają truskawki i ziemniaki w Polsce. Myślę o Ukrainkach, które sprzątaję polskie domy, tanio i na czarno, bez prawa do emerytury. Geograficzne przeniesienie systemu klasowego. Wyzysk i tęsknota. Czy *gastarbeiter* to eufemizm na określenie współczesnego chłopca pańszczyźnianego lub sługi, z pochodzenia *Slavic* czy jakiegokolwiek innego? I jak uczynić świat bardziej sprawiedliwym, by ludzie nie byli zmuszeni do emigracji zarobkowej?

Podnoszę się i zaczynam żegnać z domownikami. Nawet nie wiem, ile godzin minęło.

– Miło, że nas odwiedziłaś – mówi Piotrek, siedząc na leżaku przed domem. Jest już po zmroku, jego twarz rozświetla tylko żarzący się papieros. – Wpadaj częściej. Nikt nas tu nie odwiedza.

*

Rozmowa z Piotrkiem, Dominikiem i Władkiem daje mi do myślenia. Mieszkamy zaledwie kilkaset metrów od siebie, ale nasza sytuacja diametralnie się różni. Ja mam stałą pracę w norweskiej organizacji pozarządowej, niezłą pensję i widoki na dobrą emeryturę. Ich zatrudnia pośrednik, bez gwarancji kolejnych zleceń. Plecy bolą mnie najwyżej od siedzenia przed komputerem. Nie mieszkam z kolegami z pracy, lecz z własną rodziną.

Jak to jest właściwie żyć i pracować w Norwegii w takich warunkach?

Po więcej odpowiedzi jadę się spotkać z Justyną Marciniak i Mirkiem Bartnikiem, dwojgiem Polaków ze Związku Robotników Budowlanych, który zrzesza pracowników z Oslo i okolic. Justyna to ta, która szuka wolnej od stereotypów narracji o Polakach w Norwegii. Mirek to ten, którego wpuszczono do klubu dopiero jako Greka.

Justyna pokazuje mi świeży sondaż, który przeprowadziła wśród Polaków zapisanych do związku. Jest ich wielu, co piąty jest z Polski, a mimo to stopień zrzeszenia wśród Polaków w Norwegii jest poniżej średniej^[38]. Wyniki sondażu są jasne: 80 procent pytanych wolałoby, tak jak moi sąsiedzi z drewnianego domu, pracować dla norweskiej firmy niż przechodzić przez agencję pośrednictwa.

Mirek:

– Te agencje bardzo się rozrosły, chociaż to nigdy nie było celem ramy prawnej, która pozwala im działać. Na początku miały po prostu znajdować siłę roboczą w specjalnych sytuacjach, a teraz dominują w branży budowlanej.

Mirek opowiada o zmianie w prawie z 2019 roku, która zwiększyła przewidywalność zatrudnienia dla pracowników i znacząco ograniczyła możliwość zatrudniania przez firmy, które nie mają umowy dotyczącej poziomu wynagrodzeń z jednym z dużych związków zawodowych. Wszystko po to, by zagwarantować lepsze kontrakty i bardziej efektywnie kontrolować pośredników.

– Tyle że tych agencji nigdy nie da się w pełni kontrolować – uważa Mirek.

Badania Justyny pokazują, że pracownicy zatrudnieni przez pośrednika boją się domagać należnych im praw, bo nie chcą ryzykować ani gorszego zlecenia następnym razem, ani tym bardziej utraty pracy. Mirek to potwierdza:

– Jak tylko zwrócisz im uwagę, że masz prawo do takiej samej stawki jak ci, których firma budowlana zatrudnia bezpośrednio, usłyszysz, że na twoje miejsce czeka dziesięciu innych i że mogą wcale cię już nie zatrudnić.

W styczniu 2022 roku, kilka miesięcy po naszym spotkaniu, rząd zapowiedział wprowadzenie zakazu zatrudniania pracowników przez biura pośrednictwa na placach budowy w Oslo i okolicach. Związek zawodowy Justyny i Mirka świętował. Pracowali na to od wielu lat, cztery razy strajkowali w tej sprawie^[39].

Ale zatrudnienie przez firmę budowlaną też nie daje gwarancji dobrych warunków pracy.

– W Norwegii jest wielu pseudobiznesmenów, którzy zamiast zarabiać na projektach wolą wyciągać pieniądze z kieszeni pracowników – wyjaśnia Mirek. – Zaniżają im stawki, pozbawiają ich wynagrodzenia urlopowego, płatnych nadgodzin albo innych dodatków, do których mają prawo.

Kiedyś, wynajęty przez pośrednika, Mirek pracował na placu budowy z grupą Polaków zatrudnionych przez polską firmę. Nawet nie mieli ubrań roboczych. Kiedy ich zapytał, ile zarabiają, okazało się, że przy minimalnej stawce godzinowej wynoszącej 190 koron tamci dostawali 24 korony. Mirek wyjaśnił im, że to nielegalny wyzysk, zawiadomili policję. Polski właściciel firmy zmienił stawkę w kontraktach na 190 koron, ale happy endu nie było. Bo towarzyszył pracownikom przy zakładaniu ich kont bankowych i miał do nich dostęp, więc mógł swobodnie przelewać pieniądze z powrotem na własne konto.

Dzisiaj Mirek prowadzi polskojęzyczną stronę o prawach pracowniczych w Norwegii. Zbiera też podpisy, by przywrócić polskojęzyczną infolinię w norweskim Inspektoracie Pracy. Wieczorami odpowiada przez telefon na pytania rodaków, którzy nie wazą się dzwonić w godzinach własnej pracy. Kiedy wychodzimy z Justyną z biura koło dziewiętnastej, Mirek nadal siedzi ze słuchawką przy uchu:

– Tak, to ci się jak najbardziej należy. Trzeba coś z tym zrobić.

*

Chciałabym porozmawiać z innymi Polakami, którzy budują Norwegię, by bezpośrednio od nich usłyszeć, jak to jest. Sporo się o nich mówi w norweskiej debacie publicznej. Ale czy rozmawia się z nimi?

Justyna daje mi numer do Krzysztofa – cieśli, który prosił związek o pomoc ze względu na fatalną sytuację w pracy. Justyna jeszcze na wszelki wypadek sprawdza: tak, Krzysztof zgodzi się ze mną porozmawiać.

Jest sobotnie popołudnie i Krzysztof jest w pracy – jak każdego dnia, niemal bez wyjątków. Buduje mieszkania dla bogaczy na obrzeżach Oslo. Słyszę w jego głosie, że jest zmęczony, zanim sam to powie. A powie, kilka razy. To jego zmęczona mantra.

Jest zmęczony pracą po sześćdziesiąt godzin tygodniowo i tym, że płaca mu tylko za pięćdziesiąt. Jest zmęczony tym, że nie dostaje nawet pensji minimalnej, mimo że przy jego kwalifikacjach przysługuje mu znacznie więcej. Ale najbardziej męczy go norweski brygadzysta, który wrzeszczy, gdy ktoś „pracuje za wolno”. Albo wtedy, gdy maszyny są wyłączane za dwie ósma wieczorem na koniec dnia pracy.

– O dwie minuty za wcześniej! – drze się.

Brygadzysta wrzeszczy też na spotkaniach i wali pięścią w ścianę. Albo w biurko, tak że kawa wylewa się z papierowych kubków.

Krzysztof jest też zmęczony groźbami przełożonego po tym, jak złożył skargę do związków zawodowych. I tym, że ten straszy innych kolegów Krzysztofa, by przypadkiem nie poszli w jego ślady i nie zapisali się do związków. Wielu polskich współpracowników prosiło Krzysztofa, by zaniechał dochodzenia swoich praw i odzyskiwania zaległych pieniędzy. Ale on nie zamierza się poddać.

– Twoja stawka godzinowa nie powinna zależeć od twojego pochodzenia. Jeśli teraz się poddam, nic się nie zmieni – mówi.

Od dwóch miesięcy związek zawodowy czeka na wyjaśnienia od zaskarżonego pracodawcy. W międzyczasie atmosfera na placu budowy tylko się pogorszyła. Doszło do tego, że przełożony uderzył jednego z pracowników. Odmówił też dostarczenia niezbędnego sprzętu. Taka na przykład winda do podnoszenia materiałów budowlanych na wyższe piętra to jego zdaniem zbędny wydatek. Kiedy przychodzi dostawa materiałów, Polacy wnoszą je po schodach. A ich norwescy koledzy, którzy budują

klatkę schodową obok, tylko wychodzą popatrzeć. Drapią się po głowach i pytają Polaków, czy zwariowali.

Krzysztof w Polsce wyuczył się na cieślę z zamiarem wyjechania do Norwegii jak jego ojciec. Jest tu już od dziesięciu lat i wiele się nauczył od czasów pierwszego zlecenia na północy Norwegii, gdzie dostawał tylko połowę minimalnego wynagrodzenia. Teraz już wie, jaka powinna być stawka. Mówi po angielsku i norwesku. I oczywiście rozmawiał ze swoimi norweskimi kolegami, którzy pracują tuż obok.

– W ich części budynku atmosfera jest zupełnie inna – opowiada. – Pracownicy słuchają muzyki, chodzą, a nie biegają, uśmiechają się. I potwierdzili, że minimalna stawka godzinowa powinna być na poziomie 250 koron, ale nie chcieli powiedzieć, ile dostają wykwalifikowani pracownicy ani jakie mają diety i dodatki.

– Norwegia to piękny i spokojny kraj – mówi Krzysztof. – Ale nie zawsze jest tu tak miło pracować. W życiu zawodowym dzieli się ludzi na trzy kategorie: kategoria A to etniczni Norwegowie, kategoria B to etniczne mniejszości zamieszkałe tu na stałe, kategoria C to my – pracownicy z Polski.

*

Justyna daje mi też numer do Irka, murarza. Dużo łatwiej kontaktować się tą drogą niż nachodzić ludzi bez zapowiedzi, myślę z wdzięcznością.

– Irek jest moim mistrzem. Pracując z nim, wiele się nauczyłam – mówi Justyna.

Irek mieszka w Norwegii od siedemnastu lat. Ma sześćdziesiąt sześć lat i brakuje mu tylko roku do emerytury. Ale jest na zwolnieniu, nie daje rady więcej pracować. Uszkodził sobie kolana od dźwigania ciężarów. W Polsce był mistrzem rzemiosła, bo po skończeniu szkoły przez siedem lat odbywał

praktykę murarską. Ale w Norwegii nie uznano jego kwalifikacji i musiał zadowolić się najniższym wynagrodzeniem.

– Nie narzekam. Tak po prostu jest – mówi spokojnie.

Opowiada o wielu młodszych Polakach w branży, którzy tylko „narzekają i narzekają”. Rozprawiają o tym, jak to pensje w Polsce wzrosły, potem wracają do kraju na jakiś czas. Tyle że po kilku miesiącach znowu są w Norwegii, bo tu się jednak zarabia o wiele więcej.

W wolnym czasie Irek wędkuje. Lubi patrzeć na nieustanny ruch wody. Nie, nie tęskni za Polską. Zdomowił się tutaj.

– W Norwegii ludzie są bardziej zrelaksowani. Kiedy przepracują swoje osiem godzin, idą do domu. A my, Polacy, bierzemy każde nadgodziny.

Kiedy już przejdzie na emeryturę, dostanie poniżej dziesięciu tysięcy koron na miesiąc, to pięć tysięcy złotych.

– Więcej się tu nie dostanie po przepracowaniu osiemnastu lat. Nie starczy na wynajem mieszkania i jedzenie, więc mimo wszystko wrócę pewnie do Polski.

– Będziesz tęsknił za Norwegią?

Irek się śmieje.

– Raczej nie. Wszędzie będzie mi dobrze. Wystarczy mi rzeka, a tam, gdzie się wybieram, są piękne tereny dla wędkarzy.

*

Numer do Nataszy Bogacz (dla przyjaciół Naty) dostaję od Mirka. Nata prowadzi polskojęzyczny podcast o prawach obywatelskich i pracowniczych w Norwegii. Pracuje też jako doradczyni w centrum dla cudzoziemców przy Caritasie. I to przed biurem tej organizacji spotykamy się w Oslo.

Nata ma ciemne włosy i okulary. Pochodzi z Kłodzka, przy granicy z Czechami. Przez pięćset lat jej miasto było niemieckie (to jest austro-węgierskie, potem pruskie, potem niemieckie), a do Polski włączono je po II wojnie światowej. Splecione korzenie i historie o migracjach to specjalność Kłodzka.

Nata przyjechała do Oslo jako studentka Erasmusa i dzięki temu miała możliwość przez rok chodzić na porządny kurs norweskiego na uniwersytecie. I już została w Norwegii. Dziś jest tłumaczką i nauczycielką norweskiego. Umiejętności językowe przydają się jej w pracy w Caritasie, bo wielu Polaków właśnie tutaj szuka pomocy. Kiedy pracodawca zalega z pensją lub bezprawnie wyrzuca ich z pracy, gdy akurat są w odwiedzinach u rodziny w Polsce (bo może nie wrócić, by dochodzić swoich praw), albo kiedy norweskie państwo opiekuńcze odmawia im świadczeń, które im się należą. Ci, którzy zgłaszają się po pomoc do Naty, nie mówią po norwesku, a często nie znają też angielskiego.

– Co robić? – pytam jak Lenin w swoim słynnym pamflecie.

I rozumiem przez to to samo co on: Co należy zrobić, by poprawić sytuację robotników? W tym przypadku migrantów zarobkowych. Nata ma gotową odpowiedź. Żywo gestykuje z kanapką w dłoni, kiedy wymaszerowujemy z jej biura w porze lunchu.

– Po pierwsze, trzeba skończyć z D-nummerem (tymczasowym numerem identyfikacyjnym). Trzeba od razu przyznawać stały numer albo chociaż po pół roku niech to się dzieje automatycznie. Jak w Niemczech, gdzie wystarczy się raz zarejestrować. Bo to, że masz tylko numer tymczasowy, ma często dramatyczne konsekwencje: nie przysługuje ci lekarz pierwszego kontaktu, po trudnym porodzie w państwowym szpitalu dostajesz przerażająco wysoki rachunek, a podczas pandemii nagle nie możesz wjechać do kraju, w którym mieszkasz, pracujesz i płacisz podatki.

D-nummer jest po to, by ciąć koszty i zredukować odpowiedzialność norweskiego państwa za tych pracowników.

Wdech i kęs kanapki.

– A po drugie: dajcie migrantom zarobkowym dostęp do bezpłatnych kursów norweskiego. To działa na przykład w Szwecji. Jak inaczej mają się poruszać po rynku pracy bez ryzyka, że zostaną wykorzystani?

Nata opowiada też, że pandemia przyniosła nowe wyzwania.

– To, z czym najbardziej borykają się migranci zarobkowi w tym momencie, to długie kolejki. By się zarejestrować na policji albo w Urzędzie ds. Cudzoziemców, czeka się około sześciu miesięcy, potem kolejne kilka miesięcy, by zarejestrować się w urzędzie skarbowym. System wypycha ludzi do szarej strefy, odbiera nowo przybyłym możliwość płacenia podatków – wyjaśnia.

Kończymy naszą przechadzkę przed drzwiami Caritasu, gdzie wpadamy na wąsacza, który bardzo serdecznie wita się z Natą. Jest operatorem dźwigu, ale nie może pracować ze względu na uszkodzoną podczas pracy lewą dłoń. Wyciąga ją, żeby pokazać, nie może jej w pełni otworzyć. Operacja nie pomogła, ale urząd pracy nie dał temu wiary. Mężczyzna musi udać się na kolejną ocenę do lekarza.

– Powinien pan wziąć ze sobą tłumacza. Mogę z panem iść – mówi Nata, po czym odwraca się do mnie i radzi, żebym porozmawiała z Aleksandrą Czech z Armii Zbawienia, bo ona tam robi bardzo ważną robotę.

*

Polak dostał zawału podczas pracy na placu budowy. Nie wezwano karetki, tylko brygadziście. Mężczyzna zmarł. Inny został uderzony przez przełożonego, kiedy zaproteutował przeciw pracy o świcie w sobotę, bo ten

czas chciał spędzić z żoną, która była w zaawansowanej ciąży. Od uderzenia upadł na plecy, a prześwietlenie pokazało złamane żebro[40].

Aleksandra Czech pomaga zgłaszać te i wiele innych ciężkich przypadków. Myślę o podróży Dantego przez kręgi piekielne i nie opuszcza mnie poczucie, że właśnie zbliżamy się do ostatniego.

W historiach, które Aleksandra opowiada mi w swoim malutkim biurze, ciągle powraca jeden motyw: pracodawcy nie płacą podatków za wschodnioeuropejskich pracowników, którzy nie znają języka. Nikt ich nie rejestruje, jak należy, i dlatego są niewidzialni dla systemu, nie mają żadnych praw. I odkrywają to zazwyczaj dopiero, kiedy ulegają wypadkowi w pracy albo zachorują. Albo kiedy urząd skarbowy domaga się od nich zapłacenia zaległego podatku, którego nie uregulował ich pracodawca.

– Czy system nie powinien w takich przypadkach ścigać pracodawców, a nie pracowników? – chcę wiedzieć.

– Dobre pytanie – Aleksandra się uśmiecha, a w jej niebieskich oczach zapala się płomień.

Zanim trzy lata temu przejęła kierownictwo w Centrum Migracji Armii Zbawienia, oferowano tu głównie „zupę, mydło i zbawienie”. Teraz działalność została rozszerzona o doradztwo i pomoc prawną po polsku, rosyjsku i rumuńsku.

Zamykamy w jej biurze nasze torebki i idziemy zwiedzać centrum. W wejściu lekko zalatuje moczem, dalej są prysznic i kawiarnia, w której Romowie z kubkami czegoś ciepłego w dłoniach uśmiechają się do mnie ciepło. Odpowiadam tym samym. Na końcu jest pokój spotkań z widokiem na pustą salę kościelną, gdzie ktoś napisał na tablicy po polsku: „Strach i beznadzieja”.

Aleksandra opowiada, że wiele lat temu, po wymianie studenckiej w Norwegii, dostała pracę wakacyjną w idyllicznym zakątku południowej

Norwegii. Pracodawca obcinał stawkę godzinową, nie płacił za nadgodziny i nie dawał pracownikom wydruku wypłaty pensji, a za ostatni miesiąc w ogóle nie chciał zapłacić, bo „nie miał z czego”. I wtedy Aleksandra poszła do norweskiego Inspektoratu Pracy. Tam dostała wizytówkę komornika, a ten dał jej wizytówkę letniego patrolu związków zawodowych. I tak chodziła w kółko, od jednego do drugiego.

– Nie płacąc tego, co należy się pracownikowi, pracodawca może zarobić naprawdę duże pieniądze – mówi mi Aleksandra, kiedy znowu jesteśmy w jej biurze.

W swojej pracy tropi głównie polskie, rumuńskie i rosyjskie firmy, które na pierwszy rzut oka działają zgodnie z prawem, ale w praktyce okradają zatrudnianych przez siebie pracowników. To proceder zwany kradzieżą płac: firmy płacą pracownikom mniej, niż powinny, albo wcale im nie płacą. Kiedy rozmawiamy, prawo dotyczące tego typu kradzieży nadal jest w przygotowaniu, w życie wejdzie dopiero w styczniu 2022 roku. Ale i bez tego Centrum Migracji wysyła do nieuczciwych firm pisma z żądaniem zapłaty, zgłasza nowe przypadki na policję i współpracuje z adwokatami. Aleksandra zdobyła doświadczenie w podobnej pracy, mieszkając w Wielkiej Brytanii. Tam nauczyła się, że – jeśli nie ma innych możliwości – należy te nieuczciwe firmy bombardować ponagleniami i wezwaniami do zapłaty.

– Nękać i niepokoić – uśmiecha się, a oczy jej płoną.

Pod koniec lat 80. moi niewierzący rodzice w ramach protestu wobec rządów partii komunistycznej wysłali mnie na lekcje religii organizowane cichaczem przez Kościół katolicki. Jako dziewięciolatka uważałam to za tak świetną zabawę, że rozważałam wstąpienie do zakonu.

Więc teraz, mimo że jestem dorosłą ateistką, wyobrażam sobie Aleksandrę jako archanioła, który walczy z diabłem.

*

Kilka dni później spotykam na ulicy Dominika ubranego w czarną bluzę Adecco i jaskrawozielone spodnie robocze.

– Zapłacili ci chorobowe? – pytam.

– A gdzie tam. Nie wiedziałem, że trzeba było jeszcze uzupełnić podanie na stronie urzędu pracy. Ale teraz już wiem, więc mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

Żegnamy się i każde odchodzi w swoją stronę. Charakterystyczny uśmiech Dominika unosi się jeszcze przez chwilę nad centrum Oslo.

W liceum czytaliśmy Ibsena, tak jak czytaliśmy Dantego, Szekspira, Dostojewskiego, Camusa, Orwella czy Gombrowicza.

Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Norwegii, szybko do mnie dotarło, że Gombrowicz nie jest tu specjalnie znany. Nie wiem, może wyobrażałam sobie, że czytanie go jest typowo norweskie. Ale to był tylko typowy Are.

Znasz jakichś polskich pisarzy?

Może światowej sławy reportera Ryszarda Kapuścińskiego, który w swoich książkach z Afryki i Ameryki Łacińskiej oddawał głos tym, których zazwyczaj nikt nie słucha? A może czytałeś Stanisława Lema i jego powieść science fiction *Solaris*, sfilmowaną najpierw przez Andrieja Tarkowskiego, a potem przez Stevena Soderbergha?

Albo mojego ulubionego pisarza Brunona Schulza i jego prozę poetycką, w której autor bierze czytelnika za rękę „pod stołem, który nas dzieli”. Uwodzi go, rusza z nim w tajną podróż. Na jego oczach tworzy nowy świat, a czytelnik odkrywa rzeczy na nowo, jakby wrócił do czasów dzieciństwa. Chętnie poleciłabym ci też Ilonę Wiśniewską, która pisze literaturę faktu z i o północnej Norwegii. Ale jej książki nie są przetłumaczone na norweski. Ani jej, ani innych wielkich pisarzy młodszego pokolenia jak Dorota Masłowska, Ignacy Karpowicz, Szczepan Twardoch – każdy z nich to wyjątkowy głos w literaturze. Pamiętam, jak smakują ich słowa, każde z tych nazwisk uruchamia w moim mózgu małą eksplozję szczęścia.

W latach licealnych pochłaniałam wszystko, co wpadło mi w ręce. Czytałam po kilka książek naraz, przeskakując między światami i życiorysami. Powieścią, która wywarła na mnie wtedy ogromne wrażenie, był *Malowany ptak* Jerzego Kosińskiego. Pozostały mi po niej obrazy, które będę widzieć już zawsze. Ten, kiedy jeden z bohaterów łapie ptaka, maluje go na jaskrawe kolory, po czym wypuszcza na wolność i obserwuje, co się stanie. Stado ptaków nie rozpoznaje swojego wcześniejszego towarzysza, nie rozpoznaje się w nim. Takich barw u ptaka stado jeszcze nie widziało, reaguje więc strachem i próbuje go przepędzić. Ale ptak ciągle wraca i w końcu zostaje zadziobany na śmierć.

Boimy się nieznanego. To dlatego piszę tę książkę. Żeby się lepiej poznać. By kontynuować rozmowę z tymi, którzy odwracają się na pięcie na sam dźwięk odpowiedzi: „Z Polski”.

*

– Z perspektywy Norwegii Polska to biała plama na kulturalnej mapie Europy, a na polskiej scenie muzycznej przecież tyle się dzieje – mówi Ania Sienkiewicz. Siedzimy na ławce w parku i patrzymy na skąpane w słońcu Oslo.

Ania jest szefową produkcji w Cosmopolite – przestrzeni koncertowej, do której zaprasza muzyków z całego świata. Ma w głowie listę polskich artystów, których chciałaby zaprosić. Niektórzy z nich, jak Kapela ze Wsi Warszawa, zdążą wystąpić w Cosmopolite, zanim skończę pisać tę książkę.

Innego dnia i na innej ławce Katarzyna opowiada mi, że z ogromną ulgą przyjęła informację o Nagrodzie Nobla dla Olgi Tokarczuk. Tak, dopiero kiedy to mówi, dociera do mnie, że ja też zareagowałam podobnie.

Literacki Nobel dla Polki i nowe tłumaczenia i wydania jej książek w Norwegii, które pojawiły się dzięki nagrodzie, sprawiły, że literatura

Tokarczuk stała się nagle przedmiotem rozmów. Przede wszystkim *Bieguni*, uhonorowani również The Man Booker International Prize. Tytuł odnosi się do ludzi w nieustającej podróży, tajemniczej słowiańskiej sekty w ciągłym ruchu, w stanie ciągłych poszukiwań. Jedna z moich norweskich znajomych powiedziała mi, że ta fragmentaryczna książka wydała jej się trudna, bo opowiadane historie łączą tylko tematy – podróż, zmiana, ciekawość – i chciała wiedzieć, czy to typowo polski sposób pisania. Dla mnie ta powieść jest uniwersalna. Ale niewykluczone, że wpłynęły na nią wydarzenia w Polsce w tamtym czasie. Wydano ją w 2007 roku, kilka lat po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej i w roku jej wejścia do strefy Schengen, kiedy ta słowiańska sekta była już w ruchu. Dzisiaj w samych tylko Niemczech mieszkają dwa miliony Polaków, w Wielkiej Brytanii prawie milion.

W swoim czasie również Tokarczuk sprzątała pokoje hotelowe w Londynie i pisała o tym świetną prozę.

*

– Jaka książka jest dla ciebie ważna? – pytam Kamilę, malarkę, która już nie jeździ riksą, lecz pracuje na etat w kulturze.

Siedzimy w jej ogrodzie w Oslo i jemy jabłka. Oczywiście Kamili zwężają się, kiedy szpera w pamięci.

– *Dlaczego dziecko gotuje się w mamałydze Aglaji Veteranyi* – mówi po chwili, a mnie aż zatyka, bo dokładnie tę książkę mam teraz przy sobie. I kiedy wyjmuję ją z torby, mowę odbiera Kamili.

Książka opowiada o dorastaniu między kulturami, narratorem jest romskie dziecko w cyrku wędrownym. Właśnie wypożyczyłam w bibliotece norweskie wydanie, bo chciałam zacytować fragment w mojej książce:

„Wyobrażam sobie niebo.

Jest tak wielkie, że natychmiast zasypiam, żeby się uspokoić.

Po przebudzeniu wiem, że Bóg jest trochę mniejszy niż niebo. Bo przecież inaczej ciągle zasypialibyśmy ze strachu podczas modlitwy.

Czy Bóg mówi w obcych językach?

Czy rozumie też obcokrajowców?

A może anioły siedzą w małych szklanych kabinkach i robią tłumaczenia?”^[41]

*

A co, jeśli wcale nie ma małych aniołów tłumaczy? Czy wtedy idzie się do nieba? Albo tu na ziemi: dostanie się pracę, wynajmie mieszkanie, jeśli jest się obcym?

Rafał kilka lat temu dostał w Norwegii azyl polityczny, za co jest ogromnie wdzięczny. W Polsce oskarżono go o defraudację pieniędzy należących do Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich w Białymstoku, ale przed Radą Migracyjną w Norwegii Rafał dowodził, że chodzi o prześladowanie za działalność antyrasistowską. Wyjechał, ale nadal bierze udział w procesach przeciwko neonazistom w Polsce, tyle że na Zoomie. W naszej rozmowie używa słowa rasizm w opowieści o swoim poszukiwaniu mieszkania w dobrze sytuowanej zachodniej części Oslo. Przez długi czas on i jego rodzina nie mogli niczego wynająć, mimo że na rynku było wiele ogłoszeń. Nie udało się nawet wtedy, gdy zaoferował dwa tysiące koron więcej, niż przewidywał miesięczny wynajem. Pośrednik wyjaśnił, że właściciel mieszkania zdecydował się wynająć je za mniej, ale etnicznym Norwegom. Kiedy wreszcie Rafał dostał możliwość spotkania się z innym właścicielem i mógł mu opowiedzieć, że dostał w Norwegii

azyl polityczny, że jego żona studiuje i mają małą córeczkę, nic już nie stało na przeszkodzie, by podpisać kontrakt.

Również Katarzyna przez wiele miesięcy próbowała wynająć mieszkanie w lepszej części Oslo. Właściciele albo nie chcieli jej pokazywać mieszkań, albo nie odpowiadali na wiadomości. To dlatego w końcu zdecydowała się znorwegizować swoje imię i nazwisko i jako Cathrine nie miała już większych problemów z nawiązaniem kontaktu czy wynajmem.

Idziemy w ciszy, a ja trawię tę jej opowieść. Na koniec daję tylko radę zapytać:

– I potem ci ludzie nie są zaskoczeni, kiedy na spotkaniu okazuje się, że nazywałeś się inaczej?

– No właśnie nie. Kiedy tylko mnie spotykają, przestają się mnie bać.

*

Sierpień 2009 roku. Ilona właśnie rozstała się z mężem i zastanawiała, co dalej zrobić z życiem. Prosto z upalnego Wrocławia przyleciała więc na Svalbard. Było trzydzieści stopni mniej, akurat tyle, by móc odetchnąć i zebrać myśli. To, czego wtedy jeszcze nie wiedziała, to że zostanie instruktorką spinningu (bo dlaczego nie?), znajdzie tu miłość i kilka lat później zostanie pisarką, znaną w Polsce, ale nietłumaczoną na norweski.

„Bryły, kolory, odgłosy, wszystko było inaczej. W środku nocy zimne słońce świeciło tuż nad linią lodowatego morza, a powietrze nie miało żadnego zapachu”, pisze na początku swojej nagradzanej książki *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*[42].

Pierwszym, kogo spotkała na Svalbardzie, był Birger. Redaktor naczelny gazety „Svalbardposten” odebrał ją z lotniska po tym, jak napisała e-mail do redakcji. W liście musiało być coś intrygującego, skoro

zareagował. Codziennie dostawali wiele wiadomości od turystów z całego świata.

Dwa dni później, podczas których zjedli razem obiad i popłynęli łódką na wycieczkę, Birger poleciał „do Norwegii”, czyli na stały ląd, i już tego lata się nie spotkali. Ale nim zniknął, zaproponował Ilonie, żeby pod jego nieobecność zamieszkała u niego w domu. Mieszkała w hostelu w czteroosobowym, koedukacyjnym pokoju, ale podziękowała:

– Nie, nie trzeba.

A potem zadzwoniła ponownie i zapytała, czy to aktualne^[43].

Birger musiał coś powiedzieć albo zrobić podczas tych kilku spotkań, co trafiło bezpośrednio do jej serca, bo rok później już mieszkali razem w Arktyce, o której Ilona pisała w swojej debiutanckiej książce.

Jej druga książka, *Hen. Na północy Norwegii*, opowiada o najbardziej północnym regionie Norwegii – Finnmarku i jego historii, jak również o uprzedzeniach, z jakimi północni Norwegowie zderzali się na południu własnego kraju^[44]. Książkę otwiera cytat z wiersza Haralda Sverdrupa pod tytułem *Ćwiczenia z rodzimej dyskryminacji*:

Cholerne pasożyty, wszystkiego wymagają, a sami nic nie robią.

Zawracali nam głowę podczas wojny,

Przyjechali na południe jak banda Cyganów

Z ubraniami zawiązanymi na kijach i masą bachorów.

Hałasowali i śmiali się, obrażali i gadali bzdury.

Dać im łopatę i widły, niech pokażą, co potrafią.

Zamknąć ich w obozach pracy, to zaraz będzie sabotaż.

Oni nie potrafią pracować, do diabła, co za ludzie.

Tego ich niezachodzącego słońca to za darmo bym nie wziął.

Powiesić brudasów razem z tą ich suszoną rybą,

*Wypatroszyć i odciąć im łby,
Rzucić ich wszystkich do śmieci.*

W swojej książce Ilona wyjaśnia, że w odpowiedzi na uprzedzenia i poniżające traktowanie północni Norwegowie wykształcili specyficzne poczucie humoru: rodzaj autoironii, która może zaskakiwać innych Norwegów i cudzoziemców. Dlatego też tylko mieszkańiec Północy mógł napisać taki wiersz i deklamować go przy aplauzie publiczności i gwiazdach garstki, która nie zrozumiała drwiny.

Książka opowiada też o dyskryminacji Saamów i ich przymusowej norwegizacji.

– Polscy czytelnicy nigdy o tym nie słyszeli. W Polsce Norwegia funkcjonuje jako symbol poszanowania praw rdzennych mieszkańców, ale jeśli wejść głębiej, widać wiele rys na tym doskonałym obrazie – mówi Ilona w wywiadzie, który z nią przeprowadzam w feministycznym kanale radiowym radiOrakel w Oslo.

W książce Ilony pojawia się tylko jedna historia, kiedy lęk przed obcymi jest wymierzony w nią samą. Podczas gromadzenia materiałów do *Hen*, autorka przybywa do Vardø, miasta we wschodnim Finnmarku. Chodzi z plecakiem po zawianych śniegiem ulicach, ludzie jej się przyglądają. Jedna z kobiet, którą spotyka w kawiarni, mówi, że nie lubi obcych, bo kradną i brudzą. Ilona zapamiętuje, gdzie kobieta mieszka, i kilka dni później zaczyna jej odśnieżać przed domem, podczas gdy tamta stoi w oknie. Czy ukradnie jej łopatę? Po tygodniu nieudolnego odśnieżania drzwi się otwierają, Polka zostaje zaproszona na obiad. Spędzają razem wiele godzin.

Chcę wiedzieć, dlaczego Ilona nie pisze nic więcej o własnych doświadczeniach w zderzeniu z przesądami i stereotypami. Czy zostały jej

one oszczędzone?

Siedzimy na scenie klubu Mir w Oslo. Salę wypełniają polscy czytelnicy jej książek i inni goście, którzy też pewnie chętnie by je przeczytali, gdyby były dostępne po norwesku albo angielsku.

Ilona zamyśla się nad odpowiedzią ze spokojnym uśmiechem, który sprawia, że wyobrażam sobie jej lata spędzone na Północy jako „wakacje z jogą”:

– Nie lubię być w centrum uwagi w moich książkach. Ale ciągle zderzam się z uprzedzeniami. Mój mąż Birger jest ode mnie sporo starszy, więc kiedy spotykamy nowych ludzi, zdarza się, że pytają, czy jestem z Rosji. Nie lubię tego, nie dlatego, że mam coś przeciwko Rosjanom jako narodowości, ale nie podoba mi się stereotyp zawarty w tym pytaniu: rosyjska żona „kupiona” przez starszego mężczyznę. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest humor. Więc zdarzyło mi się potwierdzić, że owszem, ten oto miły pan kupił mnie za sto tysięcy dolarów, na co Birger rzucał, że utargował na osiemdziesiąt.

Ilona się śmieje, publiczność się śmieje. W jednym z rzędów widzę moją rosyjsko-ukraińską przyjaciółkę Yulię. Nasze spojrzenia się spotykają. Jak ona reaguje? Też się śmieje. Śmiech ma moc uzdrawiania, kiedy wychodzi z wnętrza grupy.

*

Inny pisarz, do którego ciągle wracam, to Gwatemalczyk Eduardo Halfon. Jego żydowscy dziadkowie emigrowali do Gwatemali z Polski i Libanu. Halfon to początek libańskiego nazwiska, które skrócono im tuż po przyjeździe w urzędzie migracyjnym. W powieści *O, moje ukochane getto* główny bohater Eduardo, którego z samym autorem łączy więcej niż imię, chce odwiedzić Łódź, miejsce urodzenia swojego dziadka^[45].

Dziadek ma na przedramieniu wytatuowany numer. Kiedy Eduardo był mały, mówił mu, że to jego „numer telefonu”.

– Nie jedź tam – mówi do niego przed wyjazdem. – Polacy nas zdradzili.

Ma na myśli II wojnę światową i tych Polaków, którzy wydawali żydowskich sąsiadów nazistom albo sami ich zabijali.

Ale w końcu dziadek zapisuje wnukowi swój dawny adres.

Eduardo rusza w podróż. W Łodzi jest tak zimno, że w sklepie z używaną odzieżą kupuje różowy zimowy płaszcz. Odziany w niego i dzięki pomocy tajemniczej Pani Maroszek odnajduje dawne mieszkanie dziadka.

Latem 2002 roku powiedziałam mojej babci, urodzonej we wsi, która wtedy była w Polsce, a dziś leży na Białorusi, że chciałabym pojechać do Mińska. Wskoczyć z Arem do pociągu w Warszawie i zobaczyć stolicę Białorusi odwiedzaną przez tak niewielu turystów. Chciałam się rozejrzeć, dotknąć ścian domów w okolicy, w której są moje korzenie.

– Ewuniu, nie jedź tam – poprosiła.

Trochę się z tego podśmiewałam, ale jej strach był prawdziwy. Miała w pamięci krewnych wysłanych na Syberię w czasach stalinowskich. I żołnierza Armii Czerwonej, przed którym uciekała przez pola, by jej nie zgwałcił. Ale w końcu wygrzebała stary notatnik z adresami i zaczęła pisać list.

I pojechaliśmy z Arem do Mińska. Na granicy odpowiedziałam *niet* za nas dwoje na wszystkie pytania, w tym: czy mamy przy sobie więcej niż dwa nadajniki radiowe. A potem zaczął się bieg na orientację z kopertą od babci w dłoni. Widniał na niej adres Nadzieży. W tamtym czasie nie potrafiłam jeszcze za bardzo czytać cyrylicy, więc tylko wyobrażałam sobie, co babcia pisze w liście po rosyjsku – pewnie o tym, kim jestem,

i o tym, co się z nią działo od lat 70., kiedy widziały się z Nadeżdą po raz ostatni.

– Nadeżdza! – sąsiadka spotkana na klatce zaoferowała nam pomoc, teraz dobijała się do drzwi.

Winda w bloku z futurystycznie migającymi przyciskami przypominała scenografię ze *Star Treka*, ale w zniszczonym korytarzu nie było światła. Dzwonek do mieszkania też nie działał.

Staliśmy z Arem za plecami chętnej do pomocy sąsiadki. W końcu drzwi otworzyła starsza kobieta owinięta tylko w ręcznik kąpielowy. Była – delikatnie mówiąc – zdziwiona. Wręczyłam jej list, otworzyła kopertę i szybko przeczytała, nie ruszając się z miejsca. A potem się rozplakała i zaprosiła nas do środka. Na kaszanke, jajka, herbatę i wódkę, nocleg oraz opowieści o rozdzielonej granicy rodzinie, o naszych korzeniach i gałęziach genealogii.

Rozmawialiśmy mieszanką rosyjskiego, białoruskiego i polskiego. Are towarzyszył nam w rozmowie, co pewien czas tylko filozoficznie podsumowując:

– *Haraszo!*

*

W 2008 roku wróciłam do Norwegii, zostawiając za sobą rewolucyjny ukrop, nawoływania autobusowych naganiaczy i zapach benzyny Caracas.

W Oslo czekało wiele ramion do uściskania, czyste powietrze, fiord, las i najlepsza na świecie woda z kranu. Wspaniale było słuchać znowu norweskiego radia bez reklam i dostawać pod drzwi „Klassekampen”. Nikt za mną nie gwizdał, gdy biegałam. Chodziłam i jeździłam na rowerze po mieście o każdej porze dnia i nocy, podśpiewując słowa starego

norweskiego kawałka punkowego „bezpieczne Oslo, brzydkie Oslo”, ale zmieniając „brzydkie” na „piękne”.

Dostałam pracę jako sekretarka produkcji w branży filmowej, bo jeden z moich norweskich przyjaciół, producent filmowy, widział mnie w akcji w Caracas i stwierdził, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Cieszyłam się, że dostałam pracę, mimo że znowu zesłam na niższe stanowisko i nowa praca znacznie różniła się od tej w Wenezueli. Kolega z pracy, Norweg, regularnie przychodził do mojego biura i opowiadał dowcipy o Polakach. O, taki na przykład:

Dlaczego na wyspie Gressholmen nie ma już królików?

Bo zjedli je Polacy.

Dawno już zapomniałam te głupie teksty. Tak było mi łatwiej. Wracają do mnie teraz, gdy robię kolejny wywiad do tej książki. Tym razem z Michałem, którego znalazłam dzięki Pawłowi.

Siedzimy na wysokich krzesłach przy gigantycznym oknie z napisem: *Nothing compares to the simple pleasure of riding a bike*. Michał opowiada, że po przyjeździe do Norwegii wiele lat temu pracował w warsztacie rowerowym w Trondheim i marzył, że kiedyś otworzy własny. Któregoś dnia miał zmianę razem z kolegą z Wielkiej Brytanii. Rozmawiali po angielsku, więc jeden z klientów zapytał, skąd są. Na wieść o tym, że Michał jest z Polski, klient zaczął opowiadać dowcipy o Polakach. Wtórował mu śmiech Brytyjczyka.

– Ilu Polaków potrzeba do wymiany żarówki? – Na co sam zaraz odpowiedział – Trzech: jeden trzyma żarówkę, drugi wchodzi na drabinę, a trzeci obraca drabinę.

A potem płynnie przeszedł do anegdot o Polakach, którzy dla niego pracowali „wszyscy jak jeden mąż idioci”. Opowieściom nie było końca. Były tak zabawne jak kopanie leżącego. Brytyjczyk też miał w końcu dosyć

i poprosił klienta o opuszczenie warsztatu. Michał tylko stał, bez słowa i bez siły.

W tym czasie zaprzyjaźnił się z innym kolegą z pracy – Norwegiem Oddem Erikiem. Gdy do warsztatu wpadł znajomy, Odd Erik chciał przedstawić swojego współpracownika i przyjaciela „Michała z Polski”, ale tamten nie chciał nawet o tym słyszeć, bo – jak się wyraził – „nie był zainteresowany poznawaniem Polaków”.

Minęło kilka miesięcy, w końcu i tak się poznali. Trondheim to nie Nowy Jork.

– Dotarło wtedy do niego, że nie jestem „jakimś Polakiem”, ale człowiekiem – Michał patrzy w dół, poprawia na nadgarstku bransoletkę z rowerowego łańcucha.

Razem ze swoją partnerką Dominiką (tą, która marzy, by znowu projektować) zaoszczędzili tyle, by otworzyć własny warsztat i sklep rowerowy, obecnie największy w Trondheim.

I to właśnie tu rozmawiamy. Dominika zaprojektowała logo: klucz francuski i łańcuch rowerowy w jednym.

Zaproponowali Oddowi Erikowi, by został wspólnikiem, ale on nie chciał ryzykować własnym kapitałem i wołał po prostu, by przyjaciele go zatrudnili.

Ale i tak zdarza się w tym nowym, wielkim sklepie, że po rozmowie z Michałem klient „chciałby porozmawiać z szefem”. I idzie prosto do Odda Erika.

– Szefie! – woła wtedy Odd Erik i wysyła klienta z powrotem do Polaka.

Współpracują też z norweskim dostawcą, który na każdym kroku powtarza:

– Przecież i tak wiem, że Odd Erik jest tu właścicielem, niezależnie od tego, co piszecie na fakturze.

*

W 2009 roku zamieniłam branżę filmową na pracę w organizacji pozarządowej SAIH (Międzynarodowy Fundusz Pomocy Studentów i Pracowników Naukowych), która wspiera projekty edukacyjne na globalnym Południu i na którą składki wpłacają norwescy studenci. Współpracowałam z pierwszym wielokulturowym uniwersytetem na karaibskim wybrzeżu Nikaragui, z feministkami i młodymi aktywistami. Tu słucha się reggae z Jamajki, a poza hiszpańskim używa kreolskiego angielskiego i kilku języków indiańskich. To tu mieszkają Nikaraguańczycy o afrykańskich korzeniach. To najuboższa część kraju, poziom wykształcenia plasuje się znacznie poniżej średniej, a wielu mieszkańców nie posiada dokumentów tożsamości. Po raz pierwszy pracowałam wtedy przeciw rasizmowi. Miałam zaszczyt wspierać kampanię przeciwko dyskryminacji Indian i Afro-Nikaraguańczyków i przeciw ich „niewidzialności” w debacie publicznej i polityce społecznej.

Pamiętam wspólne wyjście na piwo z kolegami z SAIH, wszyscy byli tak zwanymi etnicznymi Norwegami (czy nie moglibyśmy znaleźć wkrótce jakiegoś lepszego określenia?). Był piątek, siedzieliśmy w tureckim barze w Oslo, a kiedy podeszłam, by zamówić kolejną, barman spojrzał na mnie i powiedział:

– Mogę powiedzieć to tylko tobie, bo nie jesteś Norweżką.

Napięcie, zaraz potem oplecione nicią porozumienia. Moja nieprzynależność stała się nagle przynależnością.

– Chcesz wiedzieć, jak czuję się w Norwegii? – zapytał i zrobił pauzę, która jeszcze podkreśliła atmosferę. – Czuję, jakbym siedział w lodówce

otoczony przez warzywa.

Parsknęliśmy śmiechem.

Walenie humorem w silniejszego jest chyba okej?

*

Tym razem mieszkałam w Norwegii do 2010 roku, po czym znowu się wyprowadziliśmy. Tym razem do Chile, gdzie Are dostał pracę jako dyplomata. Na jednym z kursów przedwyjazdowych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dowiedzieliśmy się od urzędu pracy, że najlepiej gdybyśmy się pobrali, w przeciwnym razie ryzykowałam utratę ubezpieczenia zdrowotnego i innych praw socjalnych, mieszkając dłuższy czas za granicą. Tak więc z urzędem pracy w roli swata udaliśmy się do ratusza w Oslo na ślub cywilny. Miałam na sobie norweski strój ludowy *bunad*, który dostałam od matki Arego (ona sama brała w nim ślub). Wyobrażałam sobie, że będzie to biurokratyczna procedura, tymczasem słowa urzędnika były wzruszające, państwo mówiło do nas o miłości! A potem było szalone wesele w Polsce: pieczony dzik, wódka i taki zespół klezmerski, że nogi same rwały się do tańca. Norwescy goście zrzucali z siebie marynarki i koszule i tańczyli w krawatach na głowach ramię w ramię z polskimi gośćmi. A potem zasypiali na trawie przed hotelem pod polskim letnim niebem. Wesele przeszło do historii jako kultowe. Moja polskość została poklepana po ramieniu.

Chile dało mi niepowtarzalną możliwość prowadzenia podwójnego życia, przekraczania kategorii. Czasem moja obcość była wyraźną zaletą, innym razem doświadczałam stygmatyzacji. To był przywilej: móc odczuwać na własnej skórze, jak czują się inni. Traktowałam to jako efektywne ćwiczenia z empatii.

W czasie pracy nad doktoratem na Universidad de Chile starałam się też o pracę wykładowczyni na innej uczelni. Już podczas rozmowy kwalifikacyjnej dostałam propozycję zatrudnienia i zachęcono mnie, bym opowiedziała studentom, że studiowałam w Europie.

– Będą zachwyceni – powiedziała podekscytowana dyrektorka fakultetu.

Moja pozycja startowa okazała się lepsza dzięki obrazowi Europy, który pozostawiła po sobie kolonialna historia.

Wszyscy nasi sąsiedzi z bloku w dzielnicy Providencia w Santiago de Chile należeli do wyższej klasy średniej. I wszyscy mieli też *nany* – kobiety do pomocy przy dzieciach i sprzątaniu, które mieszkały razem z nimi. Odkąd urodził się nasz syn, sąsiedzi nie mogli się nadziwić, że daję sobie radę sama. Ale w końcu zatrudniliśmy Normę do pomocy przy dziecku w ciągu dnia, bym mogła skupić się na doktoracie. Podobnie jak pozostałe *nany* z naszego bloku, pochodziła z biedniejszego niż Chile Peru. Norma cieszyła się, że może wracać na noc do swoich dzieci. W ten sposób sama nie musiała zatrudniać *nany* i doświadczać ciągłej tęsknoty za synami. Już i tak było jej ciężko bez matki i rodzeństwa, którzy zostali w Peru, a z którymi nie widziała się od wielu lat. Myślę o „globalnym przeszczepie serca”, jak socjolożka Arlie Russell Hochschild nazywa migrację opiekuńczą z biedniejszych do bogatszych krajów[46]. Myślę o wielu filipińskich, ukraińskich i polskich sercach, które zostały przetransplantowane do Norwegii.

Któregoś popołudnia, kiedy nie było u nas Normy, mój syn zapragnął pobawić się z kolegą z piętra niżej. Ciągnął mnie za rękę do momentu, aż stanęliśmy przed właściwymi drzwiami. Zadzwoiłam, otworzył mężczyzna, a na widok moich długich ciemnych włosów i blond czupryny

dziecka zamknął mi drzwi przed nosem, rzucając tylko, że *nany* nie ma w domu.

Innym razem, podczas przyjęcia w norweskiej ambasadzie w Chile, ubrana w marynarkę i eleganckie spodnie siedziałam przez chwilę na podłodze, bawiąc się z moim dwuletnim wówczas synem. Po skończonej zabawie podniosłam się i zaczęłam rozmawiać z obecną wśród gości znaną feministką i szefową think tanku. Pogratulowałam jej uruchomienia publicznej bazy danych ekspertek, której celem było zwiększenie obecności kobiet w debacie publicznej. Kobieta była widocznie zaskoczona, że do niej podeszłam. Nagle wybuchnęła śmiechem:

– Myślałam, że jesteś naną.

A one się nie odzywają.

Na pewno nie w oficjalnych sytuacjach.

Podczas pracy nad tą książką piję wino z moją chilijską przyjaciółką Murielle, która od dziesięciu lat mieszka w Oslo. Porównujemy łatki naklejane nam przez innych. Teraz jej kolej:

– W Chile wszystko kręci się wokół klasy. Pochodzę z klasy robotniczej i to mnie identyfikowało w oczach innych i w moich własnych. Tu, w Norwegii, identyfikuje mnie mój kolor skóry. To on plasuje mnie jako „egzotyczną” obcą. Ciągłe jest mi przypominane, że jestem „inna” – „ciemniejsza”. A ponieważ nie jest to kategoria, którą sama sobie wybrałam, czuję, że odebrano mi moc samookreślenia się.

Też to czuję. Tę niemoc wyboru własnej tożsamości.

Po dwóch lampkach wina mam ochotę być postrzegana jako choćby trochę egzotyczna.

Po trzech przytulam moją mało egzotyczną polskość. A potem, wspominając zarówno Chile, jak i Polskę, myślę o Norwegii, w której nadal

nie ma tak dużych różnic ekonomicznych i społecznych. I zagnieżdżam się w tej kojącej myśli.

8

W 2014 roku pożegnaliśmy przyjaciół w Chile i przeprowadziliśmy się do Warszawy. Podczas mojej nieobecności stolica bardzo się zmieniła. Wzdłuż Wisły powstały trasy rowerowe, bary z leżakami, hamakami, koncertami, jogą i kinami pod gołym niebem. W Pałacu Kultury otwarto hipsterskie bary przy teatrach i kinach, a miasto zostało trzecią europejską stolicą z największą liczbą wegańskich restauracji, tuż za Londynem i Berlinem.

W tym samym roku otwarto Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, później okrzyknięte najlepszym muzeum w Europie, gdzie zwiedzający jest zabierany w podróż przez tysiąc lat historii Żydów w Polsce. Zbudowane w sercu niegdyś żydowskiej Warszawy i późniejszego getta, opowiada o wiele więcej niż tylko o Holokauście. Przybliża na wiele sposobów historię samej Polski, ukształtowaną przez bogatą i dramatyczną wielokulturowość jej mieszkańców, przed i po II wojnie światowej. Nasi chilijscy przyjaciele podczas krótkiej wizyty w Warszawie zwiedzali muzeum przez trzy dni z rzędu. Na stronie Polinu czytam, że instytucja chce brać czynny udział w budowaniu empatii i szacunku między kulturami.

W Warszawie dostałam pracę w dużej międzynarodowej organizacji zajmującej się prawami człowieka. Moim atutem było to, że przyjechałam z Norwegii. Słowo „Norwegia” otwiera w Polsce wiele drzwi. Wywołuje uśmiech na twarzach pracowników biura rzecznika, aktywistów, dziennikarzy, kolegów i szefów. Norwegia to w ich głowach synonim „praw

człowieka”, „równości”, „demokracji”, „funduszy norweskich”, „budowania pokoju” i „państwa opiekuńczego”.

Zaraz potem, w 2015 roku, doszło do władzy Prawo i Sprawiedliwość i natychmiast zaczęło dostosowywać do swojej nacjonalistycznej i reakcyjnej ideologii program nauczania w szkołach, media publiczne i system sądownictwa. Musieli chyba czytać Antonia Gramsciego, myślałam sobie, bo budowali to, co ten filozof polityki nazywał „hegemonią” – dążyli do zmiany dominującej narracji o tym, czym są polskość i Polska, do nadania Polsce roli bastionu tradycyjnych chrześcijańskich wartości, walczącego z zepsuciem Zachodu. Wprowadzili też naprawdę potrzebne programy społeczne, a jednocześnie zabrali się za zaostrzenie prawa aborcyjnego oraz rozmontowywanie wymiaru sprawiedliwości, co doprowadziło do masowych protestów.

Dziesiątki samochodów policyjnych zaparkowanych w długich rzędach w okolicach sejmu, gdzie nie ustawały protesty – tak pamiętam lato 2018 roku, nasze ostatnie lato w Warszawie, nim wróciliśmy do Oslo.

Mój syn Lukas – wówczas siedmiolatek – miał wobec Norwegii ogromne oczekiwania. Kojarzył ten kraj wyłącznie z wakacyjną sielanką i białymi świętami. I był bardzo dumny, że to właśnie stąd pochodzi.

– Nie jest mi zimno! Jestem Norwegiem! – odpowiada za każdym razem, gdy proszę go, by założył skarpetki.

Kiedy przeprowadziliśmy się do Norwegii, mówił po polsku, hiszpańsku, angielsku i norwesku w dialekcie z Ås, którego nauczył się od ojca. Zaraz na początku usłyszał w norweskiej szkole, że nie wolno mu rozmawiać na przerwie po polsku. Nauczycielka argumentowała, że inne dzieci nie rozumieją, kiedy on i urodzony w Polsce kolega z klasy mówią w obcym języku.

Jej argument można zrozumieć. Ale szkoła nie oferowała nauki języka ojczystego, więc te krótkie wymiany zdań pomagały utrwalać znajomość polskiego. Trudno było potem przekonać Lukasa do mówienia po polsku, skoro nawet na szkolnym boisku było to niedozwolone.

Myślę o wszystkich językach, które zanikają w norweskich szkołach. Wyparowują.

Ale cokolwiek by mówić, norweska szkoła mojego syna jest pod wieloma względami lepsza od publicznej szkoły w Polsce. Nie mam na myśli poziomu nauczania matematyki, bo tu Polska trzyma się mocno, ani faktu istnienia stołówki, której tak brakuje w norweskich szkołach. Myślę bardziej o tym, że w norweskich szkołach nie wywiera się na uczniów tak dużej presji, że wieszka się tęczowe flagi i uczy tolerancji.

Po dwóch latach w Norwegii przeprowadziłam z Lukaszem wywiad dla Krytyki Politycznej pod tytułem *Norwegia i świat oczami 9-latka*. To był hit, link do tekstu był udostępniany w mediach społecznościowych przez tych, którzy chcieliby, by Polska trochę bardziej przypominała Norwegię.

„– Jaka jest szkoła w Norwegii w porównaniu z tą w Polsce?

– W norweskiej szkole nauczyciele na ciebie nie krzyczą. W podstawówce nie ma ocen. Jest mniej stresu. Byłem bardzo szczęśliwy, jak zacząłem tu chodzić do szkoły.

– Lekcje religii macie?

– Tak, ale uczymy się o różnych religiach. I o różnych zwyczajach i tradycjach, jak na przykład ramadan. To jest, jak muzułmanie przez cały miesiąc jedzą tylko wieczorami. O judaizmie też się uczyliśmy...

– W czerwcu razem z dyrektorem szkoły wciągnęliście na maszt tęczową flagę na dziedzińcu szkolnym. Dlaczego?

– No bo czerwiec jest miesiącem Pride.

– A co to jest Pride?

– Pride to świętowanie LGBT. Że są wśród nas geje, bi i trans, i na l... lesbijki! Świętujemy, że jesteśmy różni, ale wszyscy mamy te same prawa.

– Znasz kogoś, kto jest LGBT?

– Siostra mojego przyjaciela urodziła się jako chłopiec, ale czuje się dziewczynką. Zmieniła imię.

– Pamiętam, że powiedziałaś, że nic nie muszę ci tłumaczyć, kiedy ich rodzice poinformowali szkołę i innych rodziców, że ona czuje się dziewczynką i tak chce być traktowana.

– Od razu jak ją poznałem, pomyślałem, że to dziewczyna. Tylko imię mi się myliło na początku, kiedy zmieniła. Czasem jeszcze używałem tego starego”.

Dalej poprosiłam Lukasa, by porównał życie w Norwegii z życiem w Polsce. I sama bym tego lepiej nie ujęła:

„W Norwegii jest więcej wolnego czasu. Mniej się tutaj pracuje. I krócej się jest w szkole. I ludzie mają chatki w lesie, i jeżdżą tam na weekendy i w wakacje”[47].

*

My nigdy nie mieliśmy chatki w lesie. Ale w Oslo kupiliśmy dom od osoby, która ma polskie korzenie. Ponieważ pisze swoje imię przez C, a nie przez K i używa holenderskiego nazwiska męża, odkrycie, że mówi po polsku, zajęło mi chwilę. Ale odtąd chciałam z nią rozmawiać w naszym języku.

– Czy to nie zabawne, że łączy nas wspólny język? – zapytałam, na co ona spojrzała na mnie, jakbym spadła z księżycy, szepnęła coś po polsku i płynnie przeszła na norweski.

Po tylu latach poza Norwegią widocznie zapomniałam, że nie zawsze jest tu miło być Polakiem. Że to może być też powód do wstydu.

Podczas pracy nad tą książką natknęłam się na publikację napisaną przez polskiego antropologa, który przyjechał do Norwegii, by pracować i mieszkać razem z polskimi robotnikami. Prowadził obserwację uczestniczącą, czyli to, co antropologodzy lubią najbardziej. Opisuje rodzaj wstydu, który zaobserwował u robotników w kontaktach ze światem zewnętrznym w Norwegii; sytuacje, w których czuli, że nie mogą domagać się swoich praw ani lepszego traktowania. I – co chyba najciekawsze – po pewnym czasie antropolog zauważył ten wstyd także u siebie. Wstyd, że należy do napiętnowanej grupy, że brany jest za przedstawiciela podklasy, obywatela drugiej kategorii. Swoją książkę zatytułował *Wstydliva tożsamość: uczucia, ideologie i siła w życiu polskich migrantów w Norwegii*[48].

Jest mi łatwiej ukryć się za książką antropologa niż opowiadać o własnej obserwacji uczestniczącej. Ale nie odpuszczam sobie, opowiadam dalej. Bo wstyd pojawił się w końcu też u mnie. Zinternalizowałam zewnętrzne sygnały. Nie zajmuję już tyle miejsca, co w Chile czy w Polsce. Skurczyłam się nieco. I czasem łapię się na tym, że się pilnuję.

W pracy w Oslo byłam jedyną osobą w dziale, dla której norweski nie był językiem ojczystym. Czułam, że muszę się przez to starać dwa razy bardziej, by udowodnić, że mam prawo tam być. Pamiętam, że na wieść, że dołączam do grupy, koleżanka, która nigdy wcześniej ze mną nie współpracowała, zmarszczyła nos i chciała się jeszcze upewnić, czy „na pewno muszę być z nimi w grupie”. Pomijano mnie raz po raz, gdy trzeba było iść na ważne zebrania z ludźmi z zewnątrz. Któregoś razu ktoś przy mnie zapytał moją szefową, dlaczego zostałam zatrudniona. A nowa osoba w dziale podczas porannego spotkania przerwała mi w pół zdania, by

zapytać, skąd jestem. Nim zdołałam zacząć recytację mojej formułki, z pomocą nadeszła mi koleżanka:

– Ewa jest obywatelką świata.

*

W 2020 roku przez świat przetoczyła się fala protestów Black Lives Matter. To było jak burzenie niewidzialnych ścian. Norweskie gazety i media społecznościowe zalała fala relacji o codziennych przejawach rasizmu. Czytałam je wszystkie. Płakałam z narratorami. Widziałam się w wielu z tych historii. Dopiero po jakimś czasie zauważyłam, że największa mniejszość w Norwegii jest nieobecna w tej wymianie opowieści.

Więc lepiej późno niż wcale.

Oto jestem.

*

Kiedy miałam osiem lat, razem z moją niewiele starszą ciocią pisałyśmy książki. Nie zapomnę, gdy któregoś dnia powiedziała, że nie będziemy już więcej pisać, bo życie i tak jest za krótkie, by przeczytać wszystkie dobre książki, więc nie ma sensu tracić czasu na pisanie „przeciętnych”.

Dopiero teraz mam odwagę się jej sprzeciwić.

Napisałam tę książkę, bo wielu z nas mieszkających w Norwegii doświadcza rasizmu na co dzień, a ogół społeczeństwa tego nie dostrzega.

Międzynarodowe definicje rasizmu mówią o dyskryminacji ze względu na kolor skóry, narodowość czy pochodzenie etniczne. Nie próbuję tu nikogo prześcignąć. Wręcz przeciwnie, dołączam do tej debaty pełna obaw, czy – mając na względzie moją bladość – mam w ogóle prawo w niej uczestniczyć. Wiem, że jest wiele innych osób, które doświadczyły

poważniejszej dyskryminacji niż ja. Dlatego tak długo czekałam, by się odezwać.

Ale nadszedł czas, by porozmawiać o formach dyskryminacji, które nawet jeśli nie są brutalne, a czasem są wręcz subtelne, to nie ulega wątpliwości, że stanowią właśnie dyskryminację i że wkradają się do życia ludzi, ograniczają ich, karzą i rodzą wstyd.

Pamiętam koncert afroamerykańskiej gwiazdy Junglepussy w Warszawie. Feministyczna królowa hip-hopu nieco się spóźniła, a kiedy już stanęła na scenie w swoim utlenionym afro, przy gorącym aplauzie publiczności, pierwsze, co powiedziała do mikrofonu, brzmiało:

– Nie wyobrażacie sobie, co usłyszałam od waszych wujków i cioc w pociągu z Berlina do Warszawy.

Ależ tak, mogłam sobie wyobrazić te dobre rady, by „wracała do swojego kraju”. I jestem wdzięczna, że mi o tym przypomniała. Bo moi wujkowie i ciocie nie mówią do mnie tego, co mówią do niej.

W komentarzu ze sceny Junglepussy podsumowała punkt wyjścia do żywo dyskutowanej książki autorstwa Reni Eddo-Lodge pod tytułem *Dlaczego nie rozmawiam już z białymi o kolorze skóry*[49]. Bo to męczące i trudne wyjaśniać rasizm komuś, kto go nigdy nie doświadczył. Bolesne i druzgocące, jeśli twoje przeżycia wyjaśni ci ktoś, „kto wie lepiej”.

Podobnie trudno jest wytłumaczyć mężczyźnie, jak ciało kobiety reaguje na brak równości. Albo komuś z wyższej klasy średniej, jak to jest być biednym. Albo heteroseksualiście, w jaki sposób homofobia odciska się na codziennym życiu. I tak samo niełatwo jest opisać, jak to jest być Polakiem, Litwinem, Pakistańczykiem, Somalijszczykiem, Chilijczykiem albo Ukraińcem w Norwegii.

Trudno wyjaśnić, jak smakuje gorzka mikstura rasizmu i klasizmu. Upředzenia wokół pochodzenia i klasy są ze sobą ściśle powiązane.

Tworzą bariery, służą do usprawiedliwiania segregacji i wyzysku ludzi.

Według danych norweskiego Centralnego Biura Statystycznego z roku 2020 39 procent cudzoziemców przyznało, że w ciągu ostatniego roku doświadczyło dyskryminacji[50]. W innym badaniu, przeprowadzonym w 2016 roku wśród emigrantów, 28 procent podaje, że nie zostało zatrudnionych ze względu na swoje pochodzenie, a 16 procent, że są z tego samego powodu gorzej traktowani w miejscu pracy[51]. Eksperyment z 1800 fikcyjnymi podaniami o pracę w Norwegii pokazał, że prawdopodobieństwo bycia zaproszonym na rozmowę kwalifikacyjną spada o około 25 procent, jeśli aplikujący ma obco brzmiące nazwisko[52].

Jeśli nie doświadczyłeś dyskryminacji etnicznej na własnej skórze, być może zastanawiasz się, czy ja i inni przypadkiem nie przesadzamy. Albo może jesteśmy przewrażliwieni. Ale jeśli dotknęła cię jakakolwiek inna forma gorszego traktowania, na przykład ze względu na płeć albo twoją orientację seksualną, to łatwiej jest ci zbudować most między tymi doświadczeniami, zrozumieć te, które nie są twoimi własnymi, których na co dzień nie dostrzegasz.

Minęło już kilka pokoleń, odkąd Norwegowie emigrowali do Stanów Zjednoczonych i wysyłali do domów pieniądze. Pewnie dlatego w norweskiej pamięci zbiorowej nie ma poczucia bycia pogardzonym ze względu na miejsce pochodzenia. Wyjątek stanowią Saamowie, a także północni Norwegowie, którzy przeprowadzili się na południe parę dekad temu.

Poczucie wyższości wobec ludzi z Europy Wschodniej nie jest typowo norweskie, podobnie jest w Danii czy w Niemczech. No i w Wielkiej Brytanii, gdzie w ostatnich latach doszło do wielu aktów przemocy wobec Polaków. Podczas kampanii przed głosowaniem nad brexitem wrzucano

ludziom do skrzynek zalaminowane karty z tekstem „Opuśćmy Unię – Nie dla polskich szkodników”[53].

Napisałam tę książkę z nadzieją, że w Norwegii nigdy nie zejdziemy do tego poziomu.

*

– Dobrze to jest – pisze na czacie mój młodszy brat po przeczytaniu fragmentu tej książki. Mieszka w Stanach, ale po wielu latach spędzonych w Kopenhadze potrafi czytać po norwesku.

Zaraz wysyła kolejną wiadomość: „Ale czemu używasz mojej historii?”

„Co masz na myśli? Jakiej historii?”

„No, tej o sąsiadach i nazwisku na skrzynce pocztowej. To moja historia z Danii. Też tak miałaś?”

Czy on żartuje?

Odpisuję roześmianym do łez emotikonem. I rzeczywiście śmieję się przez łzy.

„To jest moja historia z Oslo”.

„Skandynawski klasyk. Przez cztery lata nazywałem się Jakobsen”.

Co?! Jak to możliwe, że nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy? Już prawie zapomniałam o tej historii. Czy mój brat też starał się zapomnieć o swojej?

Brat: „Wspólnota mieszkaniowa nie chciała zamontować tabliczki z naszymi nazwiskami na skrzynce, więc zrobiliśmy ją sami. A sąsiedzi za każdym razem ją zdzierali”.

Ja: „U nas sąsiedzi poprosili właścicielkę mieszkania o usunięcie naszych nazwisk, ale nigdy tego nie zrobiliśmy”.

Brat: „My też nie. Sąsiedzi robili to za nas”.

Powtarzam emotikon.

Brat (trochę poirytowany): „Bardzo śmieszne. Musiałem wyjechać do Stanów, żeby zrozumieć, ile antypolskiego rasizmu jest w Danii. Dopiero tutaj mogę być Europejczykiem. W Danii byłem tylko *polakk*”.

Następnym razem, kiedy się spotykamy, pytam brata o inne historie, o których wolałby zapomnieć. Opowiada o imprezie w swoim kopenhaskim mieszkaniu, które dzielił z innymi studentami z Polski. Drzwi się nie zamykały, gości ciągle przybywało, wielu z nich nie znał, być może byli sąsiadami. Jeden z nowo przybyłych zapytał: „A więc mieszka tu więcej Polaków? Powiedzcie, gdzie chowacie te kradzione rowery?”. Po tym żarcie gość szybko został wystawiony za drzwi.

Brat opowiada też o wieczorze w barze. Jakaś kobieta zamawiała kolejkę szotów dla znajomych i jednocześnie flirtowała z moim bratem (czy już wspominałam, że jest przystojny?). Wręczając mu jeden z kieliszków, zapytała, skąd pochodzi. Odpowiedź wyrwała wtyczkę z gniazdka, światło zgasło. Kobieta zabrała bratu szota sprzed nosa, odwróciła się plecami bez słowa, a potem odeszła z tacą brzęczących kieliszków.

*

Przypominam sobie słowa pisarki Beate Grimrud: „Pomyśl, że w każdym ciele zamknięty jest człowiek. Życie, historia, terażniejszość i nadzieja. Powinno się przez chwilę pobyc w kimś innym”[54].

*

W wywiadzie dla Krytyki Politycznej pytam mojego syna, o czym marzy. „O świecie, gdzie wszyscy zarabiają tyle samo i gdzie nie ma zanieczyszczenia środowiska”, odpowiada.

O czym marzy Katarzyna? O stałych dochodach i lepszych widokach na przyszłość.

Justyna i mistrz (zen) Irek marzą o emeryturze.

Dariusz marzy o tym, by łączyć podróże i robienie sztuki.

Michał i Dominika marzą o domu.

Żaneta marzy o tym, by w następnym roku festiwal We Do miał jeszcze większą międzynarodową publiczność, by pokazać jeszcze więcej tego, co dzieje się w polskim filmie, tańcu, muzyce. By pokazać, że Polska to o wiele więcej niż to, co dociera do Norwegii.

Kamila marzy o Polsce, w której każdy może kochać tego, kogo chce, i gdzie każdy może decydować o własnym ciele.

Olga życzy sobie zmiany rządu w Polsce, najlepiej pod choinkę.

Krzysztof życzy sobie uczciwych wypłat i żeby więcej kolegów dołączyło do związków zawodowych.

Asia marzy o tym, by wrócić do zdrowia, być wolną, otaczać się miłością, dziećmi i psami.

Paweł marzy, by wysłać Björk w kosmos.

*

Kurtyna się odsłania.

Bo mam ci coś do powiedzenia. Chcę powiedzieć, że ta książka to nie pełna autobiografia, bo pokazuje tylko momenty, dzięki którym mogę w pierwszej osobie wyjaśnić temat wyobcowania. Życie to o wiele więcej niż te trudności. Jest w nim tyle wątków, rozchodzących się ścieżek. Jak pisze Ocean Vuong w swojej powieści o tożsamości, migracji i miłości *Wspaniali jesteśmy tylko przez chwilę*: „Każda historia ma więcej niż jeden wątek, każdy wątek – historię podziału”[55].

Chcę powiedzieć, że potrzebujemy empatii.

Chcę ci spojrzeć głęboko w oczy i trzymać cię za rękę „pod stołem, który nas dzieli” do czasu, aż przestaniemy być dla siebie „obcy”.

Chcę powiedzieć, że potrzebujemy tego, co młoda niemiecka filozofka o tureckich korzeniach Şeyda Kurt nazywa „radykałną czułością”. A to oznacza „nazywać ludzi tak, jak sami chcą być nazywani”. To oznacza spróbować zaoferować mojemu rozmówcy „język, który umożliwi uznanie i doświadczenie zarówno tego, co nas łączy, jak i naszych różnic, i w ten sposób naprawdę bycie dla siebie nawzajem”[56].

Chcę powiedzieć, że potrzebujemy solidarności, która potrafi przekształcić empatię w społeczną zmianę.

Jak wtedy, gdy w lutym 2022 roku Polska otworzyła się dla uchodźców z Ukrainy. Kiedy to piszę, miesiąc po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji, już trzy miliony Ukraińców przekroczyły polską granicę. I większość z nich zostaje w Polsce. Pomagają im głównie wolontariusze. Moi rodzice, jak wiele innych polskich rodzin, goszczą u siebie ukraińską rodzinę i kota innej rodziny z Ukrainy.

Potrzebujemy solidarności przez duże S. Jak wtedy, gdy lewicowe partie w krajach skandynawskich, w tym w Norwegii, zaproponowały wprowadzenie bezpłatnej aborcji dla Polek, które straciły to prawo u siebie w kraju.

Jak wtedy, gdy norweski Związek Budowlańców robi wszystko, by chronić prawa wschodnioeuropejskich pracowników.

W jednym przypadku udało się im zapisać grupę Polaków do związku już na lotnisku, kiedy wylatywali do kraju.

– Mieli zostać odesłani do domu pierwszym lepszym samolotem w obawie, że opowiedzą o warunkach pracy norweskiemu Inspektoratowi Pracy, który dostał zgłoszenie o nadużyciach – opowiada Jonas Bals. – Udało nam się ich zapisać do związku w hali odlotów, tuż przed startem.

Jako członków związku mogli ich reprezentować w dalszym postępowaniu, domagać się uregulowania zaległych płac i niedopuszczenia kolejnych niepoważnych graczy, którzy traktują zagranicznych pracowników tak, jakby nie mieli żadnych praw.

Związek udostępnił też na swojej stronie materiały informacyjne po polsku i litewsku. Bals opowiada, że organizowali darmowe kursy norweskiego dla pracowników z Europy Wschodniej – z dodatkowymi zajęciami na końcu, na życzenie uczniów: „Jak się przeklina po norwesku?”. I dodaje, że wielu norweskich budowlańców biegle posługuje się polskimi przekleństwami.

Są takie soczyste.

To tu, w Norwegii, wielu wschodnioeuropejskich pracowników po raz pierwszy z własnej woli poszło w pochodzie pierwszomajowym. Tak było i w moim przypadku, po tym jak w latach 80. byłam do tego uczestnictwa zmuszana.

Solidarność jest dobra dla nas wszystkich. Bo możemy się uczyć od siebie nawzajem, jak walczyć o nasze prawa. Bo razem jesteśmy silniejsi.

Bo istnieje „my”. Istnieje-my.

Kiedy zaczynałam pisać tę książkę, było we mnie dużo gniewu. Ale już go nie czuję.

Czuję się oczyszczona. No, dobra, może mam jeszcze trochę czerwone oczy. Ale jestem też gotowa do wspólnej walki.

Wiele mnie kosztowało publiczne opowiadanie o tym, co nieprzyjemne, uwłaczające. Ale zrobiłam to, bo mi zależy. Zależy mi na Norwegii – mojej nowej ojczyźnie. Zależy mi na społeczeństwie, którego jestem częścią, i chcę, by ono nadal budowane było na tradycjach solidarności, tolerancji i niewielkich różnic społecznych.

Bo zależy mi na nas.

Jak pisał James Baldwin: „Jeśli cię kocham, muszę ci uświadomić rzeczy, których nie widzisz”[57].

Na tym kończę mój list miłosny.

Parafrazą pierwszej linii norweskiego hymnu:

Tak, kocham

-my[58].

Epilog

Staram się uśmiechać do norweskiego celnika. Jestem zmęczona po nocy w samolocie z Caracas do Paryża i ostatnim odcinku do Oslo. Jest 8 marca 2020 roku. Za chwilę pandemia zamknie świat, ale tego dnia jest jeszcze tylko dodatkowa kontrola paszportowa wszystkich, którzy przylatują do Oslo.

Celnik uważnie studiuje mój norweski paszport.

– Jesteś Norweżką. Kto by pomyślał, ha, ha – kończy teatralnym śmiechem.

Czy zobaczył moje nazwisko i miejsce urodzenia? Jego „ha, ha” brzmi jak „udało ci się oszukać system”.

Ale nie przestaję się uśmiechać.

Wszystko jedno, co mówi. Ja słyszę po prostu: „Witaj w domu!”

Posłowie i podziękowania

Napisałam tę książkę z myślą o norweskich czytelnikach. Wywołała mocny odzew ze strony norweskich mediów, Polaków mieszkających w Norwegii, ale też innych mniejszości w tym kraju.

Pewnie w Polsce czytana będzie nieco inaczej. Mam nadzieję, że polska czytelniczka i polski czytelnik dojrzą w książce nie tylko opowieść o Norwegii, ale też jej bardziej uniwersalną warstwę, opowieść o migracji, stereotypach i strachu przed „obcymi”, opowieść o spotkaniach z ludźmi.

Chciałabym podziękować wszystkim Wam, którzy zechcieliście ze mną porozmawiać. W większości przypadków nie znaliśmy się wcześniej, a dzięki tej książce, i na przekór pandemii, zakwitło wiele przyjaźni. Wybaczcie, że skróciłam (wydestylowałam) nasze wywiady, ale obiecałam przecież Michałowi, że książka będzie krótka.

Dziękuję Yohanowi, Lindzie, Kristin, Liv, Tollefowi, Rai, Ginie, Marii, Pålowi, Brianowi, Johannie, Eirikowi, Ragnhild, Denizowi, mojemu bratu Piotrowi i mojej teściowej Aase za dyskusje o tematach poruszanych w tej książce. I za ten piękny list polecający, który napisał, Yohanie.

Dziękuję organizacjom Fritt Ord oraz NFFO za nieocenione wsparcie przy tym projekcie. Nie było pewne, że zaufacie debutantce, która nauczyła się norweskiego z radia.

Magnusowi i Kamili z wydawnictwa Manifest też należą się podziękowania za zaufanie. Wiele się od Ciebie nauczyłam, Kamilo. Jesteś wielka.

Chciałabym podziękować Julianowi i Karolinie z Krytyki Politycznej za przygodę z polskim wydaniem, jak dobrze jest pracować z nieustraszonymi. I Ilonie za fantastyczne tłumaczenie, za odnalezienie rytmu tej książki po polsku.

Dziękuję Ci, Norwegio, za paszport, dzięki któremu mogę podróżować do tak wielu krajów bez wizy. Dziękuję też za dostęp do dobrze funkcjonującego systemu państwa opiekuńczego (mimo opisanych tutaj wyzwań).

Dziękuję Ci, Are, za rady i korektę oraz za picie wina i przytulanki z pisarką. Najlepsze zdanie w książce *Grey lives matter* to Twój pomysł.

Dziękuję Ci, Lukasiu, za Twoje konsekwentne pytania, jak mi idzie pisanie, podczas gdy sam pisałeś własną powieść, by pobudzić mój instynkt rywalizacji. Napisałam tę książkę dla Ciebie. Mam nadzieję, że będziesz dorastał w bardziej solidarnym, empatycznym i sprawiedliwym świecie.

Bibliografia

- Baldwin, James. *I Am Not Your Negro*, film Raoula Pecka oparty na *Remember This House* Baldwina, 2016.
- Bals, Jonas. *Hvem skal bygge landet?* Cappelen Damm, 2017.
- Bauman, Zygmunt. *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2000.
- Dyrlid, Linda Marie. 'Polakken kan': *Narrativer om polske migranternes arbeid og tilhørighet i Norge*, *Norsk Antropologisk Tidsskrift*, rocznik 29, nr 3–4, 2018.
- Eddo-Lodge, Reni. *Dlaczego nie rozmawiam już z białymi o kolorze skóry*, Wydawnictwo Karakter, 2022.
- Friberg, Jon H. *Polonia i Oslo. En studie av arbeids- og levekår blant polakker i hovedstadsområdet*, Fafo, z Guri Tyldum, 2007.
- Friberg, Jon H., Line Eldring. *Polonia i Oslo 2010. Mobilitet, arbeid og levekår blant polakker i hovedstaden*, Fafo, 2011.
- Godzimirski, Jakub M. *Poland and Norway – 25 years of good relations*, [w] *Polish Community in Norway, Opportunities and Challenges*, 2014.
- Godzimirski, Jakub M. *Changing representations of Poles in Norway: what can this mean for the future of Polish diaspora?*, [w] K. Slany, M. Ślusarczyk, P. Pastułka, E. Guribye (red.), *Transnational Polish Families in Norway*, Peter Lang, 2018.
- Gombrowicz, Witold. *Ferdydurke*, Rój, 1937.
- Grimsrud, Beate. *Søvnens lekkasje*, Cappelen Damm, 2007.

- Guðjónsdóttir, Guðbjört. *We Blend in with the Crowd but They Don't*, *Nordic Journal of Migration Research*, 4 (4), 2014.
- Halfon, Eduardo. *Oh gueto mi amor*, Páginas de Espuma, 2018.
- Hochschild, Arlie Russell. *The Commercialization of Intimate Life: Notes from Home and Work*, University of Californian Press, 2003.
- Kapuściński, Ryszard. *Wojna futbolowa*, Czytelnik, 1978.
- Kosiński, Jerzy. *Malowany ptak*, Czytelnik, 1965.
- Kurt, Şeyda. *Radikale Zärtlichkeit – Warum Liebe politisch ist*, HarperCollins, 2021.
- Lem, Stanisław. *Solaris*, Wydawnictwo MON, 1961.
- Loftsdóttir, Kristin. *Being 'the damned foreigner': Affective National Sentiments and Racialization of Lithuanians in Iceland*, *Nordic Journal of Migration Research*, 7(2), 2017.
- Loftsdóttir, Kristin. *Being a Desirable Migrant: Perception and Racialisation of Icelandic Migrants in Norway*, *Journal of Ethnic and Migration Studies* 43(5), 2017.
- Luksemburg, Róza. List do Mathilde Wurm, 16.02.1917.
- Midtbøen, Arnfinn H., Jon Christian Rogstad. *Diskrimineringens omfang og årsaker: Etniske minoriteters tilgang til norsk arbeidsliv*, Institutt for samfunnsforskning, 2012.
- Midtbøen, Arnfinn H. *Ethnicity as skill: immigrant employment hierarchies in Norwegian low-wage labour markets*, *Journal of Ethnic and Migration Studies* 44(9), 2017.
- Pawlak, Marek. *Zawstydzona tożsamość: emocje, ideologie i władza w życiu polskich migrantów w Norwegii*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2018.

- Przybyszewska, Anna. *Downward professional mobility among Poles working and living in Norway*, Norduniversitet, 2020.
- Przybyszewska, Anna. *Habitus Mismatch and Suffering Experienced by Polish Migrants Working below their Qualification Level in Norway*, Central and Eastern European Migration Review, vol. 9, no. 2, 2020.
- Schulz, Bruno. *Sanatorium pod klepsydrą*, Rój, 1937.
- Standley, Fred R. og Louis H. Pratt (red.). *Conversations with James Baldwin*, University Press of Mississippi, 1989.
- Szyborska, Wisława. *Chwila*, Znak, 2002.
- Tokarczuk, Olga. *Bieguni*, Wydawnictwo Literackie, 2007.
- Tokarczuk, Olga. *Numery*, [w] *Szafa*, Wydawnictwo Ruta, 1998.
- Vetaranyi, Aglaja. *Dlaczego dziecko gotuje się w mamałydze*, Wydawnictwo Czarne, 2003.
- Vuong, Ocean. *Wspaniali jesteśmy tylko przez chwilę*, W.A.B., 2021.
- Wiśniewska, Ilona. *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*, Wydawnictwo Czarne, 2014.
- Wiśniewska, Ilona. *Hen. Na północy Norwegii*, Wydawnictwo Czarne, 2016.
- Ødegård, Anne M, Rolf K. Andersen. *Arbeids- og levekår for bosatte arbeidsinnvandrere fra Polen og Litauen*, Fafo, 2021.

Przypisy

- [1] List Róży Luksemburg do Mathilde Wurm, 16.02.1917.
- [2] „Rogalandsavis”, *Mange utvises fra Norge*, 17.11.2004; NRK, *Utvisningssaker femdoblet – slår alarm om rettssikkerheten*, 23.02.2016.
- [3] NRK, *Ti grafer som viser Forskjells-Oslo*, 4.09.2015.
- [4] W. Szymborska, *W zatręsieniu*, [w] *Chwila*, Znak, 2002.
- [5] O Wistomie na www.atlasobscura.com.
- [6] „Klassekampen”, *Der sola aldri skinner*, 17.09.2009.
- [7] „The Independent”, *The EU has built 1,000km of border walls since fall of Berlin Wall*, 09.11.2018.
- [8] P. Bukowski, F. Novokmet, *Within a single generation, Poland has gone from one of the most egalitarian countries in Europe to one of the most unequal*, grudzień 2019.
- [9] J. Godzimirski, *Poland and Norway – 25 years of good relations*, [w] *Polish Community in Norway, Opportunities and Challenges*, 2014.
- [10] J. H. Friberg, J. H., G. Tyldum, *Polonia i Oslo. En studie av arbeids- og levekår blant polakker i hovedstadsområdet*, Fafo, 2007.
- [11] E. Sapieżyńska, A. Nagoda, *Hvem kveler lønnsveksten?*, „Aftenposten”, 4.05.2006.
- [12] Fafo Østforum seminar: *Er polakk et skjellsord? – Om arbeidsinnvandring, språk og tilhørighet*, 12.02.2018.
- [13] L. M. Dyrliid, ‘Polakken kan’: *Narrativer om polske migranternes arbeid og tilhørighet i Norge*, Norsk Antropologisk Tidsskrift, rocznik 29, nr 3–4, 2018.
- [14] Bergens Tidende, *Dette er skjellsordene som brukes mest i skolen*, 20.03.2019.
- [15] J. Godzimirski, *Changing representations of Poles in Norway: what can this mean for the future of Polish diaspora?*, [w] K. Slany, M. Ślusarczyk, P. Pastułka, E. Guribye (red.), *Transnational Polish Families in Norway*, Peter Lang, 2018.

- [16] „VG”, *100 kommuner har fått importsmitte fra Polen*, 26.10.2020.
- [17] „Debatten”, 12.01.2021.
- [18] „Dagsnytt”, 18, 19.01.2021.
- [19] T. Strand, R.S. Bruland, Z. Paszkiewicz, *Så lett er det å få tak i en falsk polsk koronatest*, NRK, 25.01.2021.
- [20] NRK, *Får hatefulle kommentarer hver gang det lander et fly fra Polen*, 13.01.2021.
- [21] N. Bogacz, K. V. Strøm, *Stemples som smittespredere*, „Dagbladet”, 21.11.2020.
- [22] A. F. Hvambdal, *Hjelper ikke å finne sydebukker*, „Dagbladet”, 21.01.2021.
- [23] „Klassekampen”, *Smittens sydebukker*, 23.01.2021.
- [24] *Po pewnym czasie zniesiono opłatę za rejestrację szczepionek.*
- [25] NTB, *Økende barnefattigdom blant innvandrere*, 17.06.2021.
- [26] J. H. Friberg og L. Eldring, *Polonia i Oslo 2010: Mobilitet, arbeid og levekår blant polakker i hovedstaden*, Fafo, 2011; J. E. Andreassen, *Polakker med doktorgrad jobber som renholdere og på byggeplasser i Norge*, forskning.no, 7.02.2021.
- [27] A. Przybyszewska, *Habitus Mismatch and Suffering Experienced by Polish Migrants Working below their Qualification Level in Norway*, „Central and Eastern European Migration Review”, vol. 9, no. 2, 2020, s. 71–88.
- [28] Dz. cyt.
- [29] G. Guðjónsdóttir, K. Loftsdóttir, *Being a Desirable Migrant: Perception and Racialisation of Icelandic Migrants in Norway*, „Journal of Ethnic and Migration Studies”, 43(5), 2017.
- [30] K. Loftsdóttir, *Being 'the damned foreigner': Affective National Sentiments and Racialization of Lithuanians in Iceland*, „Nordic Journal of Migration Research”, 7(2), 2017.
- [31] J. H. Friberg, A. H. Midtbøen, *Ethnicity as Skill: Immigrant Employment Hierarchies in Norwegian LowWage Labour Markets*, „Journal of Ethnic and Migration Studies”, 44(9), 2017.
- [32] Dz. cyt.
- [33] *Utstilling Roepolakkerne* av Ż. Kruszelnicka, Immigrantmuseet.

[34] A. M. Ødegård, R. K. Andersen, *Arbeids- og levekår for bosatte arbeidsinnvandrere fra Polen og Litauen*, Fafo-rapport 2021.

[35] Zobacz również J. Bals, *Hvem skal bygge landet?*, Cappelen Damm, 2017, a także FriFagbevegelse, – *Vi er i ferd med å gå fra et organisert arbeidsliv til organisert kriminalitet*, 12.06.2017.

[36] SSB, *Levekår blant innvandrere i Norge 2016*, SSB, Rapporter 2017/13.

[37] Forskning.no, *Pandemien har avslørt hvor avhengige vi er av arbeidsinnvandrere*, 31.10.2020.

[38] A. M. Ødegård, dz. cyt.

[39] FriFagbevegelse, *Nå kommer det et forbud mot bemanningsbransjen i Oslo-området*, 18.01.2022.

[40] FriFagbevegelse, *Da 'Jacek' nektet å jobbe overtid, fikk han juling av sjefen*, 26.03.2020.

[41] A. Veteranyi, *Dlaczego dziecko gotuje się w mamałydze*, przeł. A. Rosenau, Wydawnictwo Czarne, 2003.

[42] I. Wiśniewska, *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*, Wydawnictwo Czarne, 2014.

[43] F. Springer, *Kapcie*, Vogue.pl, 20.08.2018.

[44] I. Wiśniewska, *Hen. Na północy Norwegii*, Wydawnictwo Czarne, 2016.

[45] E. Halfon, *Oh gueto mi amor*, Páginas de Espuma, 2018.

[46] A. Russell Hochschild, *The Commercialization of Intimate Life: Notes from Home and Work*, University of Californian Press, 2003.

[47] E. Sapieżyńska, *Norwegia i świat oczami 9-latka*, KrytykaPolityczna.pl, 11.07.2020.

[48] M. Pawlak, *Zawstydzona tożsamość: emocje, ideologie i władza w życiu polskich migrantów w Norwegii*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2018.

[49] R. Eddo-Lodge, *Dlaczego nie rozmawiam już z białymi o kolorze skóry*, przeł. A. Sak, Wydawnictwo Karakter, 2022.

[50] SSB, *Livskvalitetsundersøkelsen 2020*, na zamówienie Bufdir.

[51] SSB, *Livskvalitetsundersøkelsen 2016*.

[52] A. H. Midtbøen, J. Ch. Rogstad, *Diskrimineringens omfang og årsaker: Etniske minoriteters tilgang til norsk arbeidsliv*, ISF, 2012.

[53] „Mirror”, ‘No More Polish Vermin’ cards posted through letterboxes and ‘Go Home’ graffiti among ‘Brexit racism’ incidents reported, 26.06.2016.

[54] B. Grimsrud, *Søvnens lekkasje*, Cappelen Damm, 2007.

[55] O. Vuong, *Wspaniali jesteśmy tylko przez chwilę*, przeł. A. Pluszka, W.A.B., 2021.

[56] Ş. Kurt, *Radikale Zärtlichkeit – Warum Liebe politisch ist*, HarperCollins, 2021.

[57] *Conversations with James Baldwin*, F. R. Standley, L. H. Pratt (eds.), University Press of Mississippi, 1989.

[58] Norweski hymn otwierają słowa: „Tak, kochamy ten kraj/ Rozciągający się/Skałami i chmurami ponad morzem”.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Epilog

Posłowie i podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Karta redakcyjna

Ewa Sapieżyńska
Nie jestem twoim Polakiem. Reportaż z Norwegii
Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Jeg er ikke polakken din*

Copyright © Forlaget Manifest AS, 2022

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2023

Przekład: Ilona Wiśniewska

Korekta: Urszula Roman

Opieka redakcyjna: Julian Kutyla

Projekt graficzny, skład i łamanie: Marcin Hernas | tessera.org.pl

Zdjęcie na okładce: Roberto Moiola/Getty Images

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67805-00-1

This translation has been published with the financial support of norla



Redakcja: Paulina Bieniek

Korekta: Aleksandra Czyż

Opieka redakcyjna: Jaś Kapela

Zdjęcia: Jakub Szafrński



Wydawnictwo Krytyki Politycznej

ul. Jasna 10, lok. 3

00-013 Warszawa

redakcja@krytykapolityczna.pl

www.krytykapolityczna.pl

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w redakcji Krytyki Politycznej (ul. Jasna 10, lok. 3, Warszawa), Świetlicy KP w Trójmieście (Nowe Ogrody 35, Gdańsk), Świetlicy KP w Cieszynie (al. Jana Łyska 3) oraz księgarni internetowej KP (wydawnictwo.krytykapolityczna.pl), a także w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek